

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:
w Wilnie

Rocznie	6.—
Półrocznie	3.—
Kwartalnie	1 50
Miesięcznie	50
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

TAKTYKA STRUSIA.

W „Kurjerze Litewskim“ ukazał się artykuł p. K. Martusewicz, który redakcja, jak sama przyznaje, zamieściła po długich wahaniach i z licznymi zastrzeżeniami.

Trudno się temu dziwić, skoro się zważy, że p. Martusewicz bez litości zdiera zasłonę słodkich złudzeń i górnobrzmiących frazesów, którą publicyści z „Kurjera Litewskiego“ stale zawieszają przed oczami czytelnika, by przez trzeźwe patrzenie w rzeczywistość nie nabrał czasem ochoty do krytykowania swych przewodników w dziedzinie polityczno-społecznej.

Szczególniej kwestja litewska starannie jest owijana w bawełnę i przedstawiana na szpaltach organu ziemiańskiego, jako sprawa podrzędnej wagi, pozbawiona głębszego znaczenia, jako przemijająca chmurka na czystym horyzoncie pięknych tradycji.

P. Martusewicz ironicznie traktuje tę romantyczną publicystykę, inspirowaną przez sielankowe powieści Weysenhofa. Bo, co uchodzi artyście — nie przystoi politykowi, pragnącemu swe społeczeństwo uchronić od przykrych rozczarowań i zawodów.

P. Martusewicz nie widzi tych przykładów rozczulającej zgody pomiędzy szlachtą polską i włościanstwem litewskim, które taką otuchą napawają p. W. B—skiego. „Kiedy by my z panami połączyli się — lepiejby wszystkim byłoby“... powtarza p. W. B—ski słowa dziada-litwina z powieści Weysenhofa. Lecz taki dziad — słuszną czyni uwagę p. Martusewicz — mógł się zrodzić tylko w bujnej imaginacji poety. „Śmiało rzec można, że dziadów takich na Litwie niema. Prawdopodobnie zaś dziady te marzą tylko o tem, ażeby „panowie“, co rychlej z Litwy się wynieśli“...

Również ironicznie zapatruje się p. Martusewicz na powiedzenie p. B—skiego, że „do ludu litewskiego, wbrew kłamstwu, rozsiewanym rozmyślnie, duża polska garnie się z miłością i rozumieniem, że tylko w takiej unji (dworu i chaty) ostać się wichrom można“... Gdzie i w czym p. W. B—ski dostrzegł

objawy tej gorącej miłości? — zapytuje p. Martusewicz.

P. W. B—skiego wyręczają w odpowiedzi pp. J. Hł. i Z. Węclawowicz. Pierwszy twierdzi, że „najlepszymi wyrazicielami duszy narodu są poeci, że zatem przytoczenie kilku poetów, jak wspomniany Weysenhof, jak Sienkiewicz, Konopnicka, Rodziewiczówna wreszcie wystarczałoby na potwierdzenie słów p. W. B—skiego“. *Risum teneatis amici!* Konopnicka, która nigdy bodaj nie oglądała na oczy Litwy i „mudzi ma być wyrazicielką nastroju szlachty polskiej w gub. kowieńskiej — takich argumentów nie sposób traktować poważnie. P. Zygmunta Węclawowicz natomiast wykazuje z cyframi i danymi faktycznymi w rękę, że ziemiaństwo kowieńskie nie mało uczyniło dla rozwoju kultury rolnej wśród włościan miejscowych i że szczerze się troszczyło o oświatę ludu litewskiego, nim rząd nie położył temu kresu.

I to jest niezaprzeczona prawda. Ziemiaństwo kowieńskie wyróżnia się dodatnio z pośród ogółu szlachty na Litwie i Białejrusi i stoi bezwarunkowo na wyższym poziomie kulturalnym niż w innych dzielnicach naszego kraju. Samo jest lepiej zorganizowane i rozumie potrzebę pracy u podstaw we własnym interesie. Interes też, nie żadna miłość romantyczna dyktuje mu ów sposób postępowania w stosunku do ludu. Wzmocnienie drobnej własności, stworzenie klasy drobnych posiadaczy — farmerów łagodzi przeciwieństwa klasowe, jakie istnieją pomiędzy obszarnikiem a małorolnym lub bezrolnym włościaninem i usuwa widmo kwestji agrarnej i ewentualnego wywłaszczenia, jako jej rozwiązania.

Taktyka ziemian kowieńskich, wzorujących się na sąsiednich Niemcach jest dowodem ich wysokiej dojrzałości społeczno-ekonomicznej i racjonalnego pomijania swych interesów. Na żadne sentymenty niema tu miejsca.

Ale czas też już wielki, by dano spokój frazeologii, która nic nie wyjaśnia i traci mocno myszką. Znośny *modus vivendi* pomiędzy szlachcicem-polakim a chłopem-litwinem może się wytworzyć z wielkim prawdopodobieństwem. O spójni duchowej, o uczuciu miłości trudno nawet marzyć. Pomijając antagonizmy klasowe, na zawadzie będą stały zawsze

różnice narodowościowe. Ziemianin polak nigdy nie potrafi przejąć się interesami kulturalnymi narodu litewskiego; może z obowiązku uczynić dla niego to i owo, ale uczuciowo będzie mu obcy i myślą i sercem wybiegał ku społeczeństwu, z którym go łączą liczne wspólne więzy kulturalne. Włościanin znów litewski, rosnąc w dobrobyt, może miarkować swą niechęć i zdobyć się na pewną życzliwość sąsiedzką, ale nie wyruguje ze swej duszy niezadowolenia, że tuż obok włada dużym obszarem ziemi litewskiej — szlachcic polak.

W tych warunkach wszelkie zbliżenie istotne pomiędzy dworem i chatą jest wykluczone. Z rozwojem świadomości narodowej, z postępem kulturalnym ludu litewskiego będzie jednocześnie pogłębiała się przepaść pomiędzy nim z ziemianstwem. Stosunki patryjarchalne, jeżeli gdzieś się przetrzymały, ulegną przeobrażeniu na modłę nowoczesną. Tego naturalnego procesu nie powstrzymają żadne idylle drukowane i zamykanie oczu na rzeczywistość.

Jakaż więc jest przyszłość własności polskiej na Litwie? Skazana jest na stopniową zagładę — to łatwo przewidzieć. Likwidacja może nastąpić bardzo nieprędko, ale — jest bodaj nieuniknioną. P. Martusewicz wyrzuca ziemianom kowieńskim, że z lekkim sercem wyzbywają się ziemi i chętnie emigrują do miast. Zjawisko powyższe jest zupełnie normalne. Brak oparcia trwałego, świadomości oderwania od gruntu, niejako zawieszenia w powietrzu nie mogą być bodźcem do pracy mozolnej, do borykania się z przeciwnościami. Perspektywa bliższa lub dalsza zupełnego osamotnienia, pozostania wyspą w morzu litewskim — odbiera chęć do zakładania fundamentów głębszych i nie uposabia do zamierzeń na dalszą metę.

Trzeba się czuć zrosniętym z otoczeniem, żyć życiem swego środowiska, by znaleźć w sobie ochotę do działania, do radosnego spoglądania w przyszłość. Reproduktry, nawozy sztuczne i kooperatywy nie wystarczą do wytworzenia takiej atmosfery wspólności duchowej. Dotyczą bowiem tylko strony materialnej, uregulowania stosunków ekonomicznych. A cała dziedzina kulturalna i polityczna? Ta na razie nie daje pola do budzenia się rozdzźwięków, dzięki ogólnej reakcji. Przyjdzie jednak czas i na te zagadnienia i potrzeby, dziś zaniedbane lub omijane. I wów-

czas wystąpi bez obłonek rozbieżność pomiędzy intencjami i aspiracjami mas litewskich oraz warstwy ziemiańsko-polskiej.

Trzykrotne wybory do Dumy Państwowej wykazały dostatecznie, że na tym punkcie „rozczulająca zgoda” ustępowała miejsce wcale zaciętym walkom. Niema żadnej podstawy do przewidywania, że będzie inaczej, gdy życie polityczne wyzwoli się z krępujących je obecnie więzów. Demokratyzacja ustroju, powszechnie prawo wyborcze antagonizm ten zaostrzą jeszcze bardziej.

Cóż mówić dopiero o ideałach odległej przyszłości, o autonomji, o połączeniu rozmaitych dzielnic litewskich w jedną całość! Na tem tle zarysować się muszą głębokie różnice pomiędzy większością litewską a mniejszością polską.

Oczywiście smutne te perspektywy nie istniałyby, gdyby ziemianstwo polskie na ziemiach etnograficznie litewskich potrafiło wyzbyć się swej wyraźnie rzucającej się w oczy odrębności, gdyby umiało znaleźć punkty styczności z narodem litewskim nie tylko w zakresie wspólnej pracy ekonomicznej. Gdyby mu leżał na sercu rozwój nauki i literatury litewskiej, gdyby je obchodziły aspiracje polityczne młodej Litwy, gdyby zespolić się chciało z inteligencją litewską, a nie traktowało jej jako „agitujących niedouków”. Zapewne nie czułoby się wówczas tak odosobnionem i stanowiłoby dodatnią siłę kulturalną, częścią integralną społeczeństwa litewskiego.

Ale czy szlachta polska zdolna jest do takiego przekształcenia się, do zrzucenia tradycyjnego kontusza, do wyzbycia się „dziedzicznej wzdury dla ludzi, pochodzących z gminu, pozbawionych tradycji towarzysko-kulturalnych”? P. Martusewicz mocno w to wątpi. „Ludzie bowiem znający dokładnie nasze społeczeństwo utrzymują, że konserwatyzm jego jest beznadziejny”.

Szczególniej tam, gdzie, jak w gub. kowieńskiej, jest ono odcięte absolutnie od miejscowego podłoża.

Więc zamiast się oburzać i ciskać gromy na ludzi, patrzących pesymistycznie, bo trzeźwo na unję litewsko-polską, urzeczywistnianą za jednym pociągnięciem pióra przez wytwornych beletrystów i usługowych publicystów, czyż nie lepiej zastanowić się nad

JAN AUGUSTYNOWICZ.

3

W budzie.

Mówiła szybko, a oczy śmiały jej się do Czar-
skiego i usta prosiły znowu niemo o pocałunek.

Przyciągnęła go ku sobie.

— Ja ucieknę z tobą... Chcesz, ucieknę z tobą?! Ty młody, ty piękny, ty miły... Wstała, rozpięła się, dotknęła palcami czupryny jego... O, jakie miękkie, miękkie włosy!.. Jeszcze mnie żaden nie całował z mego przyzwolenia... Pocałuj...

Odsunął ją od siebie.

— Muszę się przebrać — mówiła gorączkowo. Starzy przyjdą za chwilę, przyjdzie Walek... Abym zdążyła... Mileńki mój... — lasiła się pieszczotliwie. Obróciła się, zdjęła szybko cekiny, szarpnęła stanik, zdarła go.

Stała na mgnięciu. Szukała oczyma sukienki. Spieszyła się, by zdążyć. Wycięcie koszuli od-

staniało część górną gorsu, ręce były obnażone, od całej postaci uderzył zapach i ciepło młodego dziewczęcego ciała.

Czarzski spojrział oszłomiony.

Roześmiała się nagle, jak dziecko. Spozobregła jego zmieszanie. Zrozumiała powód. Szybkim kocim ruchem skoczyła ku niemu i objęła go z żarem rękoma. Usta wpiła mu w usta.

— Mój piękny... mój pan... — szeptała — mój królewicz... Ja ciebie znałam, znałam... We śnieś przychodził do mnie cały ze srebra i z obłoku, a gdy mię ojciec bił i kopał, gdy matka kopała — tyś mię bronił, mój królewiczu. Tyś lepszy od Walka... ty nie za pieniądze, — za nic!.. Ja ciebie znałam... Och, znałam tak długo, długo!.. I cóż, że my z sobą tak niedawno? Ja ciebie znałam!.. Ty mój, ty mój!..

Chciał ją odsunąć. Łekiem przesaczyły mu się żyły. — Dziecko, tyś dziecko! — mówił jakby ze zgrozą. Lecz mdlało w nim postanowienie, — czuł ciepło jej uścisku, czuł wiew jej młodego ciała... Spojrzął w jej źrenice, pełne roskoszy i uwielbienia, odczuł dreszcz, przesywający ją. Westchnęła głęboko — i zapłakała nagle wstrząsająco.

groźną przyszłością i szukać ratunku, nim nie jest jeszcze zapóźno. Odsuwanie od siebie nieprzyjemnych obrazów, by nie popsuć humoru — jest taktyką strusią, świadcząca o wielkiej naiwności politycznej pewnego odłamu naszego społeczeństwa.

Ludwik Abramowicz.

„Normalna“ klęska.

(Korespondencja własna).

Petersburg d. 5 marca.

„Dzień kłosa“ w Petersburgu i w Moskwie, a także ogólna dyskusja budżetowa uczyniły znów sprawę skutków nieurodzaju na czasie, niestety bowiem, nie wszystkie, a nawet większość żywo-nych spraw — nie są w Petersburgu sprawą na czasie.

Duma załatwiła się z głodem uchwalwszy jeszcze w październiku roku zeszłego interpelację o środkach przedsięwziętych przez rząd dla walki z nieurodzajem i głodem, wysłuchała odpowiedzi p. Kokowcewa, uchwaliła formułę, wyrażającą ufność, iż wszystko będzie w porę wykonane i... uspokoiła się.

Prasa początkowo udzielała bardzo wiele miejsca informacjom o głodzie, dając tem powód p. Kokowcowi do oświadczenia, iż wogóle głód jest to wymysł „specjalnych korespondentów“, obecnie zaś rubryka ta zmalała i jeżeli chodzi o rzeczowe informacje — trzeba się zwracać do prasy miejscowej, prowincjonalnej.

Odpoczywa również i „Oswied. Biuro“, które w swoim czasie ogłaszało co najmniej 2 — 3 zaprzeczenia, sprowadzające się zawsze do klasycznej formuły; „głodu i chorób niema, są tylko niedomagania na tle niedożywienia“.

Zwróciłem uwagę na te objawy, aby podkreślić, iż faktycznie uwaga społeczeństwa została nieco odwrócona od sprawy głodowej, która wszak da się jeszcze we znaki... Na razie dorywczo coś niecoś zrobiono, pewne dziury załatwano i jęk lu-

dnosci miejscowej po przez wate dorażnej pomocy nie dochodzi tak wyraźnie do społeczeństwa, jak dochodził na jesieni i w początku zimy, gdy klęska zjawiała się w całej swej okazałości, dość niespodzianie dla tych, którzy przedewszystkiem spodziewać jej się byli winni, mianowicie dla przedstawicieli władzy.

A teraz parę cyfr. Okręg głodowy obejmuje 20 gubernji, z nich zostały nawiedzone przez klęskę na całej swej przestrzeni gubernje: permska, kazańska, symbirska, ufańska, saratowska, samarska, astrachańska, orenburska, tobolska, obw. ak-moliński, turgajski i uralski, ogółem 12, w 8 zaś ucierpiały tylko niektóre powiaty — mianowicie w obw. dońskim — 4 z 9, w gub. niżegorodzkiej 4 z 11, w wiackiej 3 z 11, w tambowskiej 2 z 12, w stawropolskiej 2 z 5, część gub. tomskiej i obw. przymorskiego.

Oto powierzchnia objęta przez nieurodzaj.

A oto jego intensywność: w 8 z tych gubernji najciężej dotkniętych klęską zebrano w 1911 r. 221,000,000 pudów zboża podczas gdy w roku 1910 zebrano 706,000,000 pudów, a przeciętna zbioru za pięciolecie od 1905 do 1910 r. wynosi 605,000,000. Niedobór zboża wynosi zatem kolosalną cyfrę 485,000,000 pudów w porównaniu z 1910 rokiem, a 384,000,000 pud. w porównaniu z przeciętną.

Według poszczególnych gubernji niedobór ten, o ile za normę uznamy 20 pudów na dziesięcinę, wyglądać będzie według danych urzędowych następująco: w gub. permskiej — 61% całej przestrzeni, w kazańskiej — 68%, w symbirskiej — 77%, w ufańskiej — 86%, w saratowskiej — 89%, w samarskiej — 90%, w orenburskiej — 98% i astrachańskiej — 99%. Są powiaty, w których zebrano z dziesięciny zaledwie 2 pudy zboża np. jenotajewski gub. astrachańskiej, lub nawet 1 pud — w pow. wierchnie-uralskim gub. orenburskiej. Te cyfry wystarczą, mówią one same za siebie, ciągnąć dalej tę statystykę mógłbym jeszcze na paru szpaltach, czyniłoby to jednak niezawodnie sprawę głodu dla czytelnika nie na czasie...

Przenieśmy się więc myślą od cyfr do ludzi. Parę opowiadań i faktów, podanych przez miejscowych działaczy dostatecznie wyraźnie narysują

Goście lży ściekały mu na twarz z jej oczu i zasychały w palącym uścisku jej ramion i przytuleniu jej ust, Zwiływały wargi jego, — słony ich smak, jak stygmat, kładł się na nich upiornie.

— Uciekniemy, uciekniemy — szeptała. — Bóg wysłuchał prośby mojej i przysłał ciębie, królewiczu. Och, nigdy, nigdy... — jęknęła — nigdy już matka ani ojciec nie uderzą mnie więcej, już nie będą mnie mogli sprzedać jemu.

— Ty wiesz?... — szeptała znowu. — On — bogaty strasznie! Bogaty: kupiec, ormianin. Och, podli, podli! — wybuchnęła nagle z szałem.

Oderwała się i obróciła ku wejściu. Na progu korytarza stał siny, wściekły, z nabrzmałymi oczyma, z pejcem w dłoni — jej ojciec.

Zamachnął się — i pejcz, świszcząc, spadł uderzeniem krótkim, niemem na białe, obnażone plecy.

Zawyła z bólu i skoczyła, jak dzika, do kąta.

Czarski ocucił się. Ujrzał, jak pejcz wznosił się znowu i jak ojciec posunął się ku córce.

Piorunowym rzutem zwałił się na barczystego

komedjanta. Zaczęła się walka. Komedjant uległ niezadługo. Młode mięśnie Czarskiego obręczały sparły go, acz z niemalym trudem. Ciężko dyszeli — jeden na ziemi, drugi, stojąc.

— Pies... wściekły... — wydusił z nienawiścią Czarski.

Komedjant łypnął ślepiami z ogłupieniem.

— Polak... rodak!.. — zacharczał. — Policji od-dam...

— Pies wściekły... — powtórzył Czarski z uporem. Komedjant wstał. Nadeszła żona jego, później syn. Patrzyli zdziwieni, nie rozumiejąc.

— Rodak! — wypluł komedjant. — Rodak, ścierwo! Czarski patrzył nieruchomo. W pewnym momencie podszedł do komedjanta. Mówił głosem urywanym:

— Pójdzie ze mną, rozumiesz?! Do czasu, gdy sąd rostrzygnie, oddam ludziom... rozumiesz?! Psie wściekły, ty, ty.

Cichy ten człowiek zmienił się. Oczy błyszczały mu niezdrowo.

Wyrostek podszedł do niego.

w wyobraźni mieszkańca tych gubernji, które wiedzą, co niedostatek, lecz nie znają systematycznej kłęski głodowej, obraz tego, co się dzieje w gubernjach zawiedzionych przez głód, tyfus, szkorbut i t. d.

Posel Szemietow z gub. orenburskiej opowiada: „W jednej z osad kozackich cała rodzina w ciągu 3 dni nic nie jadła, konie i krowy sprzedane za bezcen, cena mąki doszła do 2 rubli za pud“.

P. Grodzickij poseł z tejże gub. orenburskiej opowiada: „W folwarku Juzowskim 150 osób utraciło zdolność do pracy wskutek głodu i chorób, bydło popędzono na jarmark, ani puda ziarna, ani jednej słomki na gumnach, choruje 265 osób. W Nagumanowie naczelnik ziemski prosi o wydanie ludności 500 pudów mąki i o jakąkolwiek odzież, bo ludność chodzi głodna i... naga, 62 osoby chorują na szkorbut“.

Posel gub. ufańskiej hr. Tołstoj opowiada o swojej gubernji tak: „Pola przedstawiały smutny obraz: żyto spalone, żadnej nadziei ani na ziarno dla siewu, ani na słomę na pokarm dla trzody. Jare zboża wyschły i też ani nasion, ani pokarmu; w wielu wsiach puszczone bydło na jare zboże, jako na pastwiska. Zapasów żadnych. Ludność żyje przymierając z głodu, niektórzy jedzą co 3 dzień. Dla kupienia 2 pudów mąki sprzedają owcę, cielaka, lub jakiś sprzęt, a jeżeli nie znajdują nabywcy, zastawiają i za pud mąki oddają przedmioty wartości 5—6 rubli“.

I tak, dalej jedno i to samo opowiadają przedstawiciele „głodowych“ gubernji, jeden obraz straszniejszy od drugiego, jeden groźniejszy od drugiego...

Lecz co gorsza, iż nie są to wypadki niestychane i nowe, nie... to wszystko zjawiska chroniczne. Od sprawy pomocy dla głodnych zaczęła swe prace I Duma i II i wreszcie obecna; na tejże sprawie skończy swe „ziemskie istnienie“ III Duma. Jeżeli wziąć stenogramy posiedzeń I i II Dumy, poświęconych sprawie głodu i porównać ze stenogramami III Dumy, poświęconemi tejże sprawie, — przekonamy się, że nic się nie zmieniło — są to wprost stereotypy, w których tylko należy pozmie-

— Co?! zapytał z oburzeniem.

Czarski odsunął go, wzięwszy za rękę, aż ów krzyknął. Żona komedjanta rzuciła się.

— Jak śmiesz, ty?! — krzyknęła.

Lecz i ją odsunął. Podszedł do młodej, płaczącej cicho w kącie, — głos zadrżał mu:

— Pójdź,.. pójdź!.. prędko... Oddam cię ludziom... dobrym ludziom...

Zachwiał się nagle. Z tyłu, zaczajony, uderzył go prętem w głowę komedjant, a później cios drugi zadał mu pięścią syn tegoż. Runął na ziemię, krew bluznęła mu ustami. Krzyk rozpaczony wydarł się z piersi dziewczyny. Zrobiła krok... Chciała przypaść do niego, zasłonić przed dalszemi uderzeniami. Lecz mrok, gdy krew ujrzała, przesłonił jej żrenice. Zwaliła mu się u nóg.

Koniec.

niać nazwy, cyfry, nazwiska. Ten sam jęk ludności miejscowej, te same odpowiedzi rządu, to samo ścieranie się bezdusznej rutyny urzędniczej z samopomocą społeczną, których najlepszym wyrazem bodaj było ostatnie polemiczne wystąpienie p. Kokowcewa: „Nie ufacie Czerwonemu Krzyżowi, bo nie pozwoli on na rozpowszechnianie proklamacji w workach z męką“.

W obawie proklamacji w workach i, zasadniczo nie ufając wiadomościom prasy i miejscowych organizacji o stanie ludności, rząd prowadził swą akcję ratunkową. Rzecz prosta, że akcja ta była niedostateczną i spóźnioną.

Jeszcze na jesieni, gdy wnoszono do Dumy preliminarz budżetowy premier pisał w załączonym memorjale, iż kampanja ratunkowa wymagać będzie około 60 milj. rubli wydatków, a obecnie... już wyasygnowano na nią 118 milj. rubli i suma ta okazuje się niedostateczną. Odpowiedź rządu pomimo to brzmi zawsze „zrobiono wszystko, co można było zrobić“.

Początkowo cała akcja rządowa (było to jeszcze w myśl decyzji P. A. Stołypina) sprowadzała się do organizacji robót publicznych. Jak szła ta organizacja zaświadczał nawet jeden z „kurskich posłów“, a więc zupełnie „blahonadiożny“: „roboty publiczne urządza się tam np., gdzie buduje się kolej, a „głodne“ wsie są oddalone od tej miejscowości o setki wiorst, aby się dostać do tych robót, trzeba mieć konie, a wszak głodni zazwyczaj nie posiadają ich“. Tak się odbywały w znacznej większości roboty publiczne, na które zresztą stawała ta część ludności, której jeszcze nie zwaliły z nóg szkorbut, gorączka głodowa, tyfus itp., innemi słowami najzdrowsza i stosunkowa najmniej potrzebująca pomocy ludność. P. A. Stołypin był sobie wierny, stawiał w dalszym ciągu stawkę na silnych i zdrowych, słabi mogli robić, co im się podoba.

P. Kokowcew przejął dziedzictwo z dobrodziejstwem inwentarza, a więc razem ze „stawką na silnych“...

Przeszło dwa miesiące i rząd się cofnął na „z góry przygotowane pozycje“: prócz robót publicznych zjawily się zapomogi żywnościowe, zapomogi w ziarnie na posiew. w sianie na pokarm dla inwentarza i t. d.

Lecz w dalszym ciągu usuwano rękę, którą społeczeństwo wyciągało do swych głodnych braci: ogłoszeń o ofiarach na głodnych nie wolno było drukować, zbierać ofiar na głodnych nie wolno nawet Wolno-Ekonomicznemu T — wu, cały szereg ziemstw musiał walczyć z miejscową administracją o swe prawo udzielania pomocy nieszczęśliwym.

Powoli i w tej dziedzinie następuje zmiana: rząd się cofa, pozwala na „kłos żyta“, wzywa ziemstwa do wspólnej akcji ratowniczej, nie pozbywa się jednak obawy przed ową nieszczęsną proklamacją w mące, nie pozbywa się również nieufności względem rządu — społeczeństwo.

Dość smutnych przykładów niedawnej przeszłości nieufność tę uzasadnia. Przytoczę tutaj wyjątek z raportów ziemstwa saratowskiego: „w 1891 roku gospodarstwa włościańskie rzeczony gubernji utraciły wskutek nieurodzaju i głodu — 88,900 koni, 85,600 krów i 413,000 sztuk drobnego bydła, w 1905 roku w tejże gubernji straty w inwentarzu były następujące — 25,000 koni, 28,000 krów i 491,000 drobnej trzody“. Cyfry straszne!.. Dowodzą one niezbicie, iż zarządzenia ratunkowe były niedostateczne i spóźnione, skoro takiej katastro-

nie zapobiec nie mogły. Skarbowy „pajok“, jak się wyraża złośliwie Mienszikow, pomstując na p. Kowkocewa za pozwolenie urzędzenia dnia „kłosa żytniego“—wygląda w świetle cyfr i faktów oplakanie.

Z roku na rok marnuje się gospodarstwo włościańskie. Dwuletni urodzaj odegrał pewną rolę dla zwiększania zapasów wolnej gotowizny w skarbie, z czego się tak chlubi minister finansów, lecz nie wzmocnił on włościanina rosyjskiego, zapasów zboża i ziarna mu nie dał, może zwiększył liczbę głów inwentarza lecz tylko po to, by stworzyć nowe ofiary dla klęski głodowej.

Według statystyki wywozu, okazuje się, iż w roku nieurodzajnym wywieziono zboża tyleż prawie, co i w latach urodzajnych, a więc raz jeszcze przekonywamy się, że włościanin pracuje nie dla siebie. Urodzaj jak i nieurodzaj odegrał rolę wyłącznie żywiołowego zjawiska, które przeszło nieomal bez śladu dla życia gospodarczego Rosji.

Nic dziwnego, że uzbrojony w różowe szkła minister finansów jest podrażniony i na zarzuty rzeczowe odpowiada za pomocą oklepanych frazesów o odezwie wyborgskiej — „Cisza i spokój i błogosławieństwo Boże“ z 1909 i 1910 roku zostały przerwane. Życie rosyjskie powróciło do „normalnego stanu“, który bez głodu i nieurodzaju nie da się pomyśleć.

„Porządek w nieporządku, to zasada, której się trzymamy“, wyraził się niedawno paradoksalnie ks. Meszczerskij i trzeba mu przyznać, że miał rację.

St. Gr.

Antoni Zaremba.

W Moskwie „staraniem przyjaciół“ wyszła świeżo niewielka książeczka, poświęcona pamięci zmarłego w 1909 roku zacnego człowieka, Antoniego Zaremby. W książeczce tej zebrano wspomnienia kilku literatów polaków i — rosjan, którzy uczcili pamięć Zaremby artykułami pozgonnemi. Podano tu też w przekładzie artykuły Zaremby w kwestjach polskich, drukowane w „Russkich Wiedomostiach“ w okresie 1905 — 1909 r. i garść listów — wspomnień bliskiego przyjaciela, ukrytego pod literami J. K. Charakterystyka, podana na czele książeczki, przypomni wileńskim przyjaciołom Zaremby szlachetne rysy tej pięknej postaci — a pokolenie, które go nie znało, pouczy o jego żywota mece i tęsknocie.

W początkach września 1909 roku nadeszła do Warszawy żałobna wiadomość o śmierci dziennikarza polskiego, czynnego w służbie publicystycznej rosyjskiej, Antoniego Zaremby. Chorował od dawna. Leczone go od lat wielu, wysyłano do morza i na pustynię, kurowano żołądek, wątrobę, nerki. Sam uważał siebie za ciężko chorego na serce. Niebardzo mu wierzono, podejrzewając hipochondrję, chorobę wyobraźnię, „konjunktury polityczne“. A tymczasem Antoni Zaremba *ex corde laborabat* i wreszcie, przemęczywszy się lat pięć, zmarł nagle niemal, w Moskwie, wnet po powrocie z zagranicznej stacji klimatycznej, gdzie szukał środka na wszystkie choroby, które go nękały wreszcie nazawsze zmogły i mogiłą ciszą zasnuły i przywarły wszystkim ból, i marzenie, i tęsknotę.

Zaremba kończył matematykę w Kijowie i, szukając chleba, wstąpił na służbę do jednego z wydziałów kolejowych. Ciasno mu było wśród rachunków i nieciekawych ludzi. Próbował szarżyć życia służbowego ozłocić i oskrzydlić, zaczął pisać do dzienników rosyjskich o sprawach polskich. Próby literackie przypadły do smaku wydawcom i próbowano go pozyskać na stałe. W ten sposób znalazł się w redakcji jedyne podówczas postępowego dziennika rosyjskiego, poważnego, profesorskiego organu moskiewskiego „Russkija Wiedomosti“. Postępowcy rosyjscy mało zajmowali się wtedy sprawami polskimi. Profesor Janżuł, wówczas nauczyciel skarbowości i ekonomji politycznej w uniwersytecie moskiewskim, liberał w duchu wolno-handlowców angielskich, dużo umiejący, łatwo orjentujący się w zagadnieniach chwili, zabarwiający swój prawowierny kurs uniwersytecki sympatjami dla sprawy robotniczej, pierwszy inspektor fabryczny okręgu moskiewskiego, z tych tedy tytułów dobrą posiadający markę w oczach młodzieży (później stracił tę opinję nazawsze) — pisał uczenie, że cały rozwój swój ekonomiczny zawdzięcza Królestwo Polskie polityce rządu rosyjskiego, nie oddalając się zbyt od kanonów profesora Simonenki, nieżyjącego już nieuka i szkodnika warszawskiego, który ojców naszych i nas jeszcze uczył, że my jesteśmy bogaci, a „ci“ w Galicji i w Poznańskim biedni i nieszczęśliwi. Mało pisano w „Russkich Wiedomostiach“ o sprawach polskich. Gdy gadzinowce w rodzaju „Now. Wremia“, albo Mosk. Wiedom. — lżyły polaków, zohydzały imię polskie wobec nieświadomej, ciemnej opinji rosyjskiej, organ profesorski próbował bronić.

Występował zawsze przeciw rodzimemu nacjonalizmowi, bez względu na jego obrońców i jego pozory.

Występował ze stanowiska ogólnoludzkiego.

Na linii ogólnoludzkiego argumentów leżała i kwestja polska. Nie było jej szczególnego rozumienia. Nie było nawet poważnych zabiegów koło jej zrozumienia. Często nie było nic więcej, jak tylko humanitarny, do niczego nie obowiązujący frazes. W owe czasy taki nic nie mówiący ogólnoludzki frazes bywał niebezpieczny. Organ tedy poważnych, trochę ciężkich, trochę sennych liberałów moskiewskich milczał. O sympatjach swoich świadczył w odcinku: tłumaczył nowele polskie, podawał wiadomości o pisarzach polskich, o jubileuszach, zgonach, o życiu polskiem. Jeżeli wiadomości te były poważne, prawdziwe, jeżeli nie były tylko przedrukiem notatek z dzienników warszawskich, a bywały rozumowaniami artykułami, przyrządzonemi dla użytku rosyjskiego czytelnika, było to w ostatnim dziesięcioleciu zasługą przeważną, może tylko jedynie zasługą Antoniego Zaremby. Abonował Zaremba wszystkie ważniejsze pisma polskie, wyławiał z nich, co tylko nadawało się do podania w piśmie rosyjskiem. Nie było w tej jego gorączce informowania się o ruchu dziennikarskim u nas przywiązania się tylko do zawodu, dobrego spełniania raz przyjętych obowiązków, ale był pewien fanatyzm. W dziennikarzu, piszącym po rosyjsku, żyło serce polskie. Był żołnierzem sprawy, którą kochał, wysuniętym przez wodza bezlitosnego, przez Los polski, na daleki posterunek, na wypadkową, samotną drogę. Tak myślał Zaremba i tem przeświadczeniem słodził sobie gorzkie godziny pracy poza krajem. W promieniu tej myśli zgłosił się do nas pewnego dnia wiosennego, w pierwszych

miesiącach istnienia „Ogniwa“ *), aby języka zasięgnąć i nicią sympatycznego oddziaływania związać swój samotny posterunek z macierzystym źródłem opinii polskiej, jemu najbliższej w tej postaci, w jakiej ta opinia przełamywała się w zwierciadle nieistniejącego już dzisiaj tygodnika warszawskiego.

Minął rok. Przyszła wojna rosyjsko-japońska. Ożywiła się atmosfera polityczna. Zaremba zaczął coraz częściej zaglądać do Warszawy. Długie spędzaliśmy wtedy godziny na rozmowie politycznej, dyskutowaliśmy „możliwości“ przeróżne, wirujące koło pytań dramatycznych: co będzie? kiedy? czy napewno? On przyjeżdżał w delegacji od działaczy rosyjskich z Moskwy, aby porozumieć się, atmosferę takiego porozumienia przygotować: tam w Moskwie rekonesans polski na obcym gruncie, tu przychodził, jako rekonesans opinii rosyjskiej, przychodził ze słowem pokoju i otuchy. Nie przychodził ze złudzeniem, z demagogją, z kłamstwem politycznym. Nie ludził się, że droga do porozumienia daleka, że jest trudna, że często niema o co zahaczyć, aby się dalej posunąć, że nasze żale, obawy, idiosynkrazje są najzupełniej uprawnione, że jednak trzeba umieć zapomnieć na chwilę, gdy cel zabiegów jest nie tylko na obłoku zawieszonym marzeniem, ale jest „możliwością“ polityczną. Dziś można już powiedzieć, o czym często uczestnicy nie wiedzieli, że zjazdy moskiewskie roku 1905-go przygotował i możliwość ich, jako reprezentacji całej opinii polskiej od konserwatywnej aż do granic socjalistycznej, stworzył zabiegami swemi, usposobieniem koncyliacyjnym, rozumnym politycznym słowem po rosyjskiej i po polskiej stronie — Antoni Zaremba. Bolało go to, że socjaliści pozostawali na stronie, pocieszał się, że jednak byłoby zbyt pięknie, gdyby i oni byli się na odgłos pobudki odezwali, a w życiu nie bywa „pięknie“, bywa tylko to, co jest konieczne i możliwe. Nadesłał mi też obszernie sprawozdanie ze zjazdu majowego, z charakterystyką stronnictw i osób i zachowania się w rozprawach: nikt nie podejrzewał, ile było w Zarembie talentu publicystycznego; większe sprawy przypinały mu skrzydła i wypełniały zwykły kałamarz redakcyjny ognistą lawą. Nie darmo mówi poeta: „rośnie człowiek wraz z większym celem jego“.

Stanisław Posner.

(d. n.)

Z życia litewskiego.

Śród uczącej się młodzieży.

Ucząca się młodzież litewska, jak zapewne każda inna, oddawna bierze czynny, gorący udział w życiu społecznym i umysłowym własnego społeczeństwa. Ona pierwsza nieraz daje wyraz nurtującym w niem prądom, z większą zwykle bezinteresownością niż reszta inteligencji wciela w życie wystawione przez tamtą lub nawet przez nią samą hasła, niekiedy goręcej od tamtej bierze do serca upośledzenie mas pracujących.

Żywy udział jej w pracy społecznej dostrzegamy już w zaczątkach społeczno-narodowego ru-

chu litewskiego, że wymienię tu studentów żmudzkich na uniwersytecie wileńskim, którzy entuzjastycznie owoczesnym patriotycznym ruchem żmudzkiem, układali historie słowniki i gramatyki żmudzkie, zbierali i ogłaszali oryginalne lub w tłumaczeniu dajny żmudzkie, pisali po żmudzku wiersze patriotyczne oraz drukowali w tym języku książki dla ludu; studentów-litwinów w Moskwie lat 50—60-tych, którzy nie tylko „odznaczali się zjadaniem kołdunów w nadzwyczajnej ilości“, jak twierdzą niektórzy pamiętnikarze polscy, lecz w większym bodaj stopniu interesowali się społecznym ruchem litewskim, nakreślili szeroki plan szerzenia oświaty wśród ludu litewskiego, układali podręczniki w jęz. litewskim, wydawali pismo i t. p. „Ausra“ 80-tych lat, „Varpas“ 90-tych, wreszcie ostatni ruch wolnościowy z pamiętnym rokiem 1905-tych włącznie — w całym tym stopniowo rozwijającym się ruchu społeczno-narodowym młodzież uniwersytecka i gimnazjalna odegrała niepoślednią, nieraz dominującą rolę.

Na nasze dopiero czasy — wystąpienia na wierzchu całej swej nagości czynników ekonomicznych, powszechnej apatii i obniżenia ideałów społecznych — przypada zeszczuplenie jej roli we społecznym życiu społecznym litwinów do rozmiarów ledwo dostrzegalnych. Na chwile też obecną przypada ostrzej niż przedtem zarysowane wyodrębnienie się jej w pewną swoistą niejako zbiorowość o przeważających nad innymi własnych swych interesach i aspiracjach społecznych, uświadomienie sobie tej odrębności oraz dążność do ujęcia jej w pewne formy ideologiczne i organizacyjne.

Litewskie organizacje studenckie, od kilku lat przeważnie zlegalizowane, egzystują po większych miastach uniwersyteckich od lat 20 — 30. Sporadycznie tworzyły się w tym czasie mniejsze lub większe grupy gimnazjalne. Od czasu do czasu ukazywały się pisane lub hektografowane miejscowe pisma studenckie lub uczniowskie. W r. 1904 — 1905 próbowano nawet wydawania specjalnego pisma dla młodzieży („Draugas“ — Kolega). W tym też czasie odbyły się wspólne narady przedstawicieli rozmaitych grup młodzieży. Ruch ten jednakże nie stawiał sobie prawie żadnych zadań powiedzmy ogólno-akademickich, lecz wyraźnie się podporządkowywał ogólnemu ruchowi społeczno-narodowemu i politycznemu. Wydawany przez nieliczną grupę „Draugas“ stawiał sobie przede wszystkim zadania rewolucyjne, a po paru numerach zamienił się nawet w ściśle polityczne pismo. Wzmoczone życie akademickie znalazło swój wyraz dopiero w wydawanej od r. 1910 „Ausrinė“ (Jutrzenka), mniejwięcej co dwa miesiące ukazującym się dodatku do „Lietuvos Žinios“.

Pismo to postawiło sobie za zadanie „wytworzenie licznej, uświadomionej i czynnej inteligencji narodowej“, budząc w młodzieży uczucia społeczne, rozwijając umysły, przyzwyczajając ją do czynnego udziału w pracy społecznej (zwłaszcza w drobnej pracy kulturalnej), odpowiadając na te pytania, jakie powstają u młodzieży, zespalać ją wreszcie w jeden organizm, mający na celu samokształcenie i pracę społeczną. Zastrzegło przytem, że będzie „głęboko demokratyczne, bezpartyjne i narodowe“.

Niestety, nie wszystkich swych obietnic dotrzymało! Skupiło ono co prawda koło siebie większość młodzieży uniwersyteckiej, sporo gimnazjalnej, po części ze szkół miejskich, seminarjów nauczycielskich i t. p., rozbudziło w wielu uczucia nie tyle społeczne, ile narodowe, w większym stop-

*) Wychodzący w Warszawie do r. 1906-go tygodnik, hołdujący zasadom socjalistycznym (Przyp. aut.).

niu je zaostrzyło niż pogłębiło, zaciążyło wreszcie na całej jej umysłowości. W „Auszriné“ znajdujemy mnóstwo wierszy, wrażeń, obrazków etc., niekiedy wielce utalentowanych a prawie zawsze napisanych z zapalem młodości, znajdujemy gorące nawoływania do pracy społecznej, lecz... redaktorzy pism oraz inni działacze w kraju obecnym bardziej niż kiedyindziej uskarżają się na *brak* młodych sił, „Auszriné“ bowiem wbrew swemu założeniu, i nawoływaniom powyższym, lecz siłą rzeczy, skupiając młodzież koło siebie i obracając się przeważnie w wązkiem kole potrzeb samokształceniowo-akademickich, wycofuje ją z szerszej pracy społecznej. Dążąc do zespolenia *całej* młodzieży litewskiej i pilnie przestrzegając swej „bezpartyjności“, „Auszriné“ zdaleka się cofa przed tem, co choć trochę trąci „głębką demokratycznością“ i poprzestając na pięknie brzmiących słówkach o „pracy dla dobra ludu“ lub poraz niewiem który przeżuwać takie „sporne“ kwestje jak potrzebę zamieszkania w kraju, poznania jego, szkodliwość wódki, palenia, etc., nie drażni ogółu analizą stosunków społecznych. Pozostaje „narodowość“. Nie oparta w „Auszriné“ na szerokim podłożu społecznym, *eo ipso* stwarza ona szerokie pole do popisu i operowania górnolotnymi („patriotycznymi“) frazesami, któremi wielu niestety zastępuje zupełny brak głębszej pracy umysłowej i — społecznej.

Ukazanie się i działalność „Auszriné“ z zapalem przyjęła nie tylko większość młodzieży, ale i szersze sfery inteligienckie, te przynajmniej, które w chwili obecnej dzielą między sobą rządy duszy chłopu litewskiego, a u których frazes „patriotyczny“ wielce popłaca. Jedynie „Visuomené“, pismo reprezentujące inteligencję społeczno-demokratyczną, a popierane przez odłam młodzieży tegoż kierunku, poddało „A--nę“ stanowczej krytyce, której trafność musiała uznać i „Auszriné“. Wypowiadając się z całą bezwzględnością przeciwko wysuwany przez to pismo bez żadnych zastrzeżeń hasła, i jej w gruncie rzeczy antyspołecznej działalności, lecz zdając sobie sprawę z całej doniosłości dokonywanej przez „Auszriné“ pracy organizacyjnej. „Visuomené“ doradzało pokrewnej sobie młodzieży podtrzymywanie bliskich stosunków z grupami skupionej koło „Auszriné“ młodzieży i oddziaływanie na nią w kierunku głębszego jej uspołecznienia.

Rzeczywistość dowiodła wkrótce słuszności krytyki i taktyki „Visuomené“ oraz utopijności zamiaru „Auszriné“ zespolenia *całej* młodzieży litewskiej. Nie mówiąc o społecznych demokracach, którzy z nielicznymi wyjątkami nie tylko nie brali w niej i jej grupach udziału, lecz zajmowali wobec niej stanowisko nieraz bardziej wrogie niż „Visuomené“, katolicy litewscy zachowywali się względem niej z pewną rezerwą. Chwalili ją za „bezpartyjność“, wysuwanie haseł pracy narodowo-organicznej, „niepolitykowanie“ i t. p, lecz z drugiej strony niedowierzali jej, obawiali się jej „młodzieńczej samodzielnosci“. Wkrótce też (w lutym r. 1911) kowieńscy patres patriae, jako przeciwwagę wpływom „Auszriné“, zaczęli wydawać przy miesięczniku „Draugija“ dodatek dla „młodzieży katolickiej“ p. n. „Ateitis“ (Przyszłość). Patronowana przez kler „Ateitis“ ukazuje się w regularnych odstępach i godnie spełnia swą misję—organizowania młodzieży katolickiej, napadając na bezbożność inteligencji, „pseudonaukowość“ nauki, dowodząc „naukowości“ teologii i t. p.

Z „Auszriné“ usunęła się „katolicka“ część

młodzieży i zorganizowała się koło „Ateitis“. Fakt ten w pewnej mierze, krytyka i wpływ zwolenników „Visuomené“, głównie zaś wzmaganie się życia społecznego sprawiają, że w ostatnich czasach wśród auszrinietis'ów, przynajmniej w kierowniczych grupach daje się zauważyć tendencja głębszego ujmowania zjawisk społecznych, zdjęcia tabu z niektórych przynajmniej niebezpiecznych dla „bezpartyjności“ „Auszr.“ kwestji. Ujawniło się to dotychczas przeważnie w zmianie stosunku redakcji „Auszr.“ do poezji „patriotycznej“, która przedtem zalewała pismo, a od której zaczęto teraz wymagać głębszej treści i jakiej takiej formy, poniekąd też w śmiałej pod względem społecznym krytyce zasad katolickich „Ateitis“. O ile tendencja powyższa w przyszłości się rozwinie, trudno narazie przesądzać. Jak dokąd, wszystko przemawia za tem, że „Auszr.“, która dotychczas tylko zastępowała do pewnego stopnia brak (lub braki!) wykładu w szkołach języka litewskiego, gdyż przyzwyczajała młodzież do czytania i pisania po litewsku, zajmie w ruchu społecznym poważniejsze stanowisko.

M. B.

Wrażenia z Galicji.

Ludzie, stale siedzący na jednym miejscu, rzadko kiedy mogą sobie jasno zdawać sprawę ze zmian, znamionujących rozwój stosunków społecznych danego kraju. Powolna stopniowość i ciągłość postępu kulturalnego stawia fakty doniosłe w jednym rzędzie z powszedniemi; a nazbyt bliskie z niemi obcowanie—jednych od drugich odróżniać nie pozwala.

By móc pochód cywilizacyjny oceniać właściwie, trzeba mieć możność porównywania lokalnej powszedniości we względnie dużych odstępach czasu, a mimo to w powszedniość tę wnikać.

W stosunku do życia galicyjskiego piszący te słowa znajduje się w położeniu wyjątkowo dogodnym. Co lat kilka, mianowicie, los rzuca go do Krakowa lub Lwowa, a zmuszając do zarobkowania piórem po kilka i kilkanaście miesięcy, wtrąca w wir życia dziennikarskiego, wymagającego przejmowania się nagle, a mocno sprawami miejscowymi.

Galicja, w ten sposób poznawana, zadaje stanowczo kłam głosom niektórych naszych publicystów, co wprost już z przyzwyczajenia stale lamentują nad jej zastojem. Lamenty owe, przybierające nieraz ton żywych, mocnych protestów, były częściowo konsekwencją warunków cenzuralnych, w jakich pracować musiała przez długie lata prasa warszawska — zwłaszcza postępową. Mając pole krytyki społecznej ogromnie zacieśnione, nie mogąc z tych lub innych względów wytykać wad i reformować instytucji miejscowych, cały swój rozmach odrodzeniowy przenosiła na stosunki zakordonowe. Przedewszystkiem zaś dostawało się Galicji choćby już dlatego, że za panujące tu porządki odpowiedzialny był w znacznej mierze żywioł polski. Krytykując krajowych rządców Galicji, można było pośrednio zwalczać uprzedzenia, narowy i przesady własnego środowiska. Wydrwiano więc kastowość, faryzeuszowstwo, bigoterję, ugodowość wreszcie, z tchórzostwem połączoną, szlachty tamtejszej, co oparłszy się o tron Habs-

burgów, wyzyskiwała swe stanowisko dla interesu kilkudziesięciu rodów magnackich, a kosztem postępu kultury i dobrobytu szerokich mas ludowych.

Nie da się zaprzeczyć, że napaści prasy warszawskiej pewną usługę Galicji oddały. Znamienny jest w tym względzie fakt, iż zarówno narodowa demokracja, jak socjaliści w dużej części importowani byli z Królestwa, ba! z Litwy nawet. Ale dwa te stronnictwa dokonały zaledwie części olbrzymiej roboty, której wyniki obserwujemy dziś nie bez podziwu.

Albowiem w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat stosunki społeczne w Galicji prawie nie do poznania się zmieniły. Kraj, który jeszcze w latach osiemdziesiątych nosił wyraźne piętno zstarego, chronicznego średniowiecza; kraj, w którym, niby w jakimś nieprzewietrzonym kącie, zbyt długo utrzymywał się zaduch przeżytków feudalizmu, gdzie wpływy klerykalne dochodziły do absurdu, a arystokracja ważyła się otwarcie walczyć z oświatą ludową, motywując swą niechęć cynicznie korzyścią analfabetyzmu chłopstwa dla interesów ziemiaństwa — dziś kraj ten w oczach przekształca się w kierunku wybitnie demokratycznym.

Co przedewszystkiem każdego obserwatora uderzyć musi, to zupełnie ongi nieznane liczenie się polityków, władz i działaczy społecznych z interesem i opinią włościństwa przy stosunkowo bardzo słabych przebiegach demagogji.

Rzecz prosta, iż odegrały tu poważną rolę ustawy austriackie, wykwitłe na gruncie, wyprzedzającym Galicję w pochodzie kulturalnym. Ale właśnie sposób, w jaki ustawy te się przyjęły, ich coraz poprawniejsze stosowanie, coraz popularniejsze rozumienie znaczenia i treści — wszystko to sprawić musi zawód pesymistom, co przepowiadali fiasko wszelkim reformom demokratycznym, do których — jak twierdzili — lud polski (a tembardziej rusiński) jeszcze nie dorósł.

Prorokom tym, powtarzam, Galicja sprawiła zawód nielada. W ciągu stosunkowo bardzo krótkiego czasu *gros* zaludnienia kraju zdobyło się na wcale wyrazistą świadomość swego położenia społecznego, swego gromadnego interesu i stosunku do niego polityki państwowej.

Gdy przed laty dwudziestu kilku pojawił się Bojko, chłop-działacz; gdy wysiłkiem wszystkich niemal żywiołów demokratycznych przepchnięto go do Izby deputowanych, fakt ten wywołał zdumienie i protesty, nawet w niektórych kołach postępowych („Głos“ warszawski), obawiających się zbyt austriackiej lojalności kmiecia i zbytnej jego powolności wobec przynęt demagogji. Dziś Bojków takich ma Galicja dziesiątki, jeżeli nie setki. Do parlamentu oni się nie pchają, rozumiejąc, jak tam bywa przydatne wyższe wykształcenie. Natomiast widzujemy ich na wiecach, zwoływanych w sprawach najrozmaitszych; spotykamy, jako organizatorów i przewodniczących kółek rolniczych, kooperatyw, wreszcie czytujemy ich artykuły w piśmiech ludowych, świetnie, dosadnie oświetlające potrzeby i dążenia włościństwa.

Między tymi ludźmi są samouki, ale są też — i to w coraz pokaźniejszej liczbie — jednostki wyszkolone, którym czasem nawet patent skończonego gimnazjum nie przeszkadza wrócić do swej zagrody.

To wszakże nie znaczy, by oświecone włościństwo nie zasiłało też inteligencji miejskiej. Przeciwnie: w jednej z mych niedawnych kores-

pondencji podniosłem już fakt coraz częstszego pojawiania się po miastach adwokatów, lekarzy, profesorów, literatów i artystów, noszących proste, chłopskie nazwiska.

Pęd to nadspodziewanie szybki. A zdrowy, pocieszający.

Pod jego wpływem przeradza się śpiesznie wieś galicyjska, jeszcze przed kilkunastu laty wszędzie jednako zaniedbana i brudna. Dziś wcale nierzadko natyka się wędrowiec na schludne, zamienne osady, już przypominające uboższe wioski szwajcarskie. I ziemia inaczej w nich, niż dawniej, uprawiona; tu i owdzie łąka porządnie skanalizowana; mostki na drogach zdrowe, groble mocne, upilnowane; chaty czyściutkie i ogródki przed niemi, z drzewami słomą na zimę okutanemi.

A jeszcze widoczniejszy jest ten postęp po miasteczkach. Wszędzie w nich widać pracę gorączkową. Stare, zapowietrzzone dzielnice pozostają na boku; natomiast tworzą się nowe, o pięknych, murowanych domach, czystych, porządnie wybrukowanych ulicach, skwerach i parkach publicznych. Gdziekolwiek wznosi się wcale gustowny pomnik; ale co najważniejsze to to, że prawie niema miasta bez gmachów monumentalnych, mieszczących najrozmaitsze instytucje kulturalne. Wyróżniają się tu budynki szkolne o szerokich oknach i nieraz, na pałacyki zakrawające, lokale „Sokoła“, które posiadają z zasady sale teatralne, czasem wprost imponujące. Często też własne piękne domy mają kasy i stowarzyszenia spółdzielcze, banki społeczne, kółka rolnicze i t. p.

A wszystko to jest w okresie powstawania. Wszędzie widać, że robota wre. Każde miasto wita się ruśztowaniami nowych domów i kupami kamienia, mającego wymościć nowe ulice. Czuć, że jeszcze lat 10, 15, a cała Galicja przebuduje się, odnowi.

I podczas gdy szlachta swe zamki dziedziczne przerabia na browary i gorzelnie, masy, do niedawna w dół spychane, gromadzkimi siłami wnoszą pałace nowe, potrzebom ducha służyć mające.

Oczywiście, w krótkim artykule niepodobna dać całego obrazu postępu, jaki odbył się w Galicji przez ostatnich lat kilkanaście. Wypada mi z konieczności na impresji poprzestać. By ją wszakże nieco urozmaicić przeniosę czytelnika chwilowo na grunt stołeczny. Życie umysłowe pulsuje tu z wzrastającą siłą. Niema dnia bez dziesiątka odczytów, referatów, dyskusji. Niema faktu, ogół obchodzącego, który nie wywoływałby natychmiast obrad publicznych, a żywych, a gorących. Obok energicznej działalności kółek akademickich, tak naukowych, jak politycznych i społecznych, żwawą akcją rozwijają spółzawodniczące ze sobą uniwersytety ludowe, które dzień w dzień po całej prowincji rozsyłają prelegientów.

Służba publiczna pełniona jest ze szczególnym zapałem przez młodzież, grupującą się dookoła wszystkich stronnictw demokratycznych, od wszechpolskiego począwszy. A suma tych właśnie wielostronnych wysiłków składa się na rzeczywisty rozwój kultury.

Bo obserwując życie tutejsze beznamietnie, musimy przyjść do wniosku, że każda ze ścierających się na gruncie galicyjskim partji miała jakąś zbawienną misję do spełnienia.

Przedewszystkiem stara mieszczańska demokracja (krakowska zwłaszcza) oczyściła drogi partjom radykalniejszym, które po niej przyszły; ona to dokonała pierwszych wyłomów w sztafcach

wstecznicstwa, fanatyzmu i uprzedzeń kastowych; ona pierwsza otworzyła okno na Europę i pierwsza poczęła Galicję wentylować.

Zasługą narodowej demokracji jest spopularyzowanie metod czeskich w samopomocy społecznej. „Sokół“, Towarzystwo Oświaty Ludowej — to jej dzieła pomnikowe. Dziś małe dzieci we Lwowie nie wyrzucają skórek od pomarańczy, lecz składają je porządnie do koszyczków na — T. S. L. (Widziałem to na własne oczy i nieraz). Bardzo też ważną zasługą Nar. Demokracji jest uobywatelenie biurokracji, dawniej żywiołu ściśle austriackiego, znającego tylko jedną cnotę — czarne-żółtą lojalność. Dziś urzędnicy, nie przestając wypełniać uczciwie swych obowiązków względem państwa, nauczyli się być przedewszystkiem polakami *resp.* — rusinami, co już jest pośrednim skutkiem starań nar. demokratów, podobnie jak i fakt, że część biurokracji wcale się nie odżegnywa od socjalizmu.

Ten ostatni miał w kraju wybitnie rolniczym rolę do odegrania bardzo ograniczoną. A przecież i on spełnił ważną misję. Nietylko bowiem podniósł do godności obywatelskiej proletarijat miejski, nietylko zmusił władzę i klasy posiadające do liczenia się z interesem robotnika, ale poniekąd był współtwórcą dzisiejszej potęgi Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nadto socjalizm dał pole do wystąpienia na arenę publiczną tak utalentowanej jednostce, jak Ignacy Daszyński, który sam jeden więcej zmógł przeżytków i zadawnionych uprzedzeń, niż gdzieindziej najradzykalniejsze grupy i długie okresy czasu.

Jemu też wiele, bardzo wiele ma do zawdzięczenia stronnictwo ludowe, które choć się dziś różnicuje i prowadzi walki wewnętrzne, ma wszelkie szanse rozwoju w kraju emancypującego się włościanstwa i rozdrobnionej własności ziemskiej. Owo oświecające się szybko włościanstwo odrodzi Galicję. A odradzanie to już się odbywa; odbywa się zadziwiająco szybko. Wiele objawów pozwala przypuszczać, że jeszcze dzisiejsze młode pokolenie dożyje chwili, w której Galicja dogoni przodujące kulturalnie kraje europejskie.

W to wierzę.

Wierzę, jak w młodzieńczą żywotność ducha narodu, któremu wystarczyła ta odrobina austriackiej swobody, by wyprostować się i porwać zwycięsko do twórczego czynu.

B. H.

WIZJE.

Leciuchno, niby mgły
porannej srebrne zwoje,
W dal jasną płyną wciąż
radosne i promienne;
Cicho zwiewają z lic
tęsknoty chmurki senne.
Dokola krążą mar
różowych świetlne roje,
A w oczach płoną wciąż
iskrami gwiazd nadzieje...
Nieziemski szczęścia błysk
na czołach promienieje.

Niosą się dusze wzwyż
modlitwą rzewną, błogą
I nikną, płynąc hen —
światłą mleczną drogą.

To znów po szarem tle
gdzieś w przestwór ciemny suną.
Szał straszny jakiś tchnie
z ich wybladłego czoła,
I chryzmat cierpień z lic
o litość zda się, wola,
Goreje oczu blask
okropną piekieł luną.
Straszliwe ręce ich
po łokcie krwią zbroczone,
Dra, szarpia własną pierś,
rwą szpony zakrzywione...
I pędzą, pędzą w dal
szeroką smugą siną,
Aż gdzieś w otchłani mgieł,
jak życie, szarych giną.

Znów wylonity się,
jak z fal spienionych morza.
Lecz teraz dziwny z czoł,
nieziemski spokój wieje.
Nie straszą burze już,
nie cieszą już nadzieje:
Z błękitów świeci im
jedyna jedna zorza.
Przed nimi drogi szlak
niedługi, lecz promienny.
I w ciszy drzemie dal,
w bezkresnej i niezmiennej.
Ku niebu wznoszą się
poblądle dziwnie oczy,
Z ust cichy płynie szept
rozmodlonemi słowy
Pokora schyla skroni,
pochyla srebrne głowy...
I rozplynęły się
w wieczornych mgieł roztoczy,

B. Bujłówna.

Z mego notatnika.

Maskarada białoruska.

P. Sołonieucz stanowczo ma pecha.

Nie udają mu się jego zabiegi stworzenia figurantów białoruskich. Z jego inicjatywy wszakże powstała organizacja, która się przezwala „Stowarzyszeniem białoruskiem“, a która miała stwierdzać, że są białorusini, nie mają nic wspólnego z „Naszą Niwą“, lecz pragnący jedynie być narzędziem posłusznym w ręku nacjonalistów rosyjskich. I pismu swemu nadał również tytuł „Bie-

łaruskaja Żyźń“, aby móc łatwiej w błąd wprowadzić nieświadomych rzeczy.

Aliści po roku już, wskutek jakichś nieporozumień z rzezonem towarzystwem, czy też chcąc mieć większą swobodę działania, p. Sołowiecz zmienia tytuł gazety i rozpoczyna wydawać na własną ręką „Siew. Zap. Żyźń“, utrzymując jednak ścisły kontakt ze „Stowarzyszeniem białoruskiem“, reprezentującym rzekomo ludność białoruską.

Aż oto wreszcie następuje krach ostateczny. Zarząd stowarzyszenia na posiedzeniu swem w d. 26 lutego odrzuca zaproszenie przystąpienia do wspólnego rosyjskiego komitetu przedwyborczego, podobno ze względów osobistych.

P. Sołowiecz występuje z piorunującym artykułem przeciwko tak niepatryjotycznej uchwale i jednocześnie uroczyście rzeka się godności członka zarządu oraz prosi o wykreślenie go z listy członków Towarzystwa,

Motywuje zaś swój krok tem, że obecnie termin „białoruski“ nie jest dobrze widziany przez koła miarodajne, a wobec swej ryzykownej uchwały stowarzyszenie może być posądzone z łatwością o nieprawomyślność, ba, nawet o rewolucyjność.

Więc p. Sołowiecz umywa ręce i nie chce mieć nic wspólnego z taką organizacją, która posiada jakieś narowy i fantazje i rości pretensje do samodzielności.

P. Sołowiecz nie zna uczucia żenady. W r. 1909 pisał: „My, białorusini nie braliśmy udziału w tworzeniu Kremla moskiewskiego, i woda rzeki Moskwy nie jest dla nas święta, podobnie jak nie jest też świętą woda Wisły“, a w r. 1912 wykłina niewinny nawet w gruncie rzeczy separatyzm „Stowarzyszenia białoruskiego“.

Ciekawość tylko, w czyjem imieniu teraz będzie przemawiał p. redaktor „Siew. Zap. Żyźni“? Czy nie postąpił zbyt nieopatrznie zrywając pośpiesznie wszelkie stosunki ze „Stowarzyszeniem białoruskiem“? Wprawdzie organizacja to nader szczupła, bo licząca — jak się p. Sołowiecz obecnie przyznaje — zaledwie niespełna 30 członków, ale zawsze dawała jakąś fikcyjną, pozorną podstawę. A teraz? Musiała chyba wpłynąć do kasy wydawnictwa znaczniejsza zapomoga...

Dwie reprezentacje.

P. Ignacy Szebeko, poseł do Rady Państwa, zamieścił „Kurjerze Warszawskim“ list, wyjaśniający stanowisko posłów polskich w sprawie głosowania nad projektem zniesienia ograniczeń spadkowych dla kobiet. Z wyjaśnienia tego się okazuje, że oba koła koronne i litewsko-białoruskie zajęły stanowiska odmienne, każdemu bowiem z posłów w sprawie tej przysługiwało prawo głosowania według własnego przekonania.

Skutkiem tego przedstawiciele Królestwa Polskiego w Radzie Państwa, z wyjątkiem jednego, głosowali za bezwzględnym zrównaniem praw obu płci, przeciwnie zaś reprezentanci wielkiej własności Litwy i Rusi, z wyjątkiem dwóch (w tej liczbie hr. J. Olizara, prezesa Koła), stanęli na stanowisku skrajnej prawicy rosyjskiej.

Wyjaśnienie powyższe jest bardzo ciekawe, stwierdza bowiem jeszcze raz niejednokrotnie notowany objaw usposobienia ultrareakcyjnego naszych obszarów, którym nie wystarcza nawet

zachowawczość „realistów“ koronnych. Dlatego też słusznie ochrzczono ich mianem „zubrów“...

P. W. B—ski w „Kurjerze Litewskim“ zarzuca „Przeglądowi Wil.“, że zajmuje stanowisko doktrynerskie i że lekkomyślnie wypowiada się za parcelacją własności polskiej. „Dziś przyczyny polityczne przemawiają stanowczo przeciwko rozdrabnianiu średniej własności ziemskiej na Litwie“ — pisze p. K. B—ski. No, na ten temat dałoby się dużo powiedzieć, kwestja jest zbyt poważna, by w paru słowach można było ją wyczerpać. Ale przypuśćmy, że tak jest, jak twierdzi p. W. B—ski. Czy zapobiegną temu procesowi naturalnemu sztuczne ograniczenia spadkowe dla kobiet? Jeżeli zresztą równy podział gruntów między dzieci grozi zanikiem stanu szlachecko-ziemiańskiego, to Rada Państwa powinna była uchwalić obowiązkowy zweikindersystem dla właścicieli ziemskich... To byłoby istotnie środek skuteczny, a również etyczny!

I jeszcze jedno: jeżeli argumenta, któremi posługują się zwolennicy ograniczeń spadkowych mają być tak przekonujące, że nie chcą ich uznać jedynie wyznawcy teorii walki klas (do których zalicza p. W. B—ski i „Przegląd Wileński“), to czemuż nie wzruszyły one hr. Olizara i tego drugiego posła z kraju naszego oraz całego niemal gremjum posłów z Królestwa? Widocznie, „piękne doktryny“, o których tak pogardliwie się wyraża p. W. B—ski, mogą zniewolić nawet członków Rady Państwa, rzecz prosta, — światlejszych...

Licz.

Jeszcze o Górze Zamkowej.

W artykule, zamieszczonym w № 32 „Kurjera Lit.“, naczelny inżynier wodociągów p. E. Szenfeld przytacza wszystkie zapewne argumenta, któremi kierowała się municypalność wileńska w znanej sprawie budowy zbiorników wody na Górze Zamkowej. W rzezonym artykule autor wyluszcza najpierw przyczyny zarzucenia pierwotnego projektu, a następnie gromadzi argumenta za umieszczeniem zbiorników tylko na Zamkowej, nie zaś na jakiej innej górze. Co do pierwszej kwestji — to dwóch zdań być nie może. Zastosowanie jednego poziomu ciśnienia dla Wilna — byłoby dużą techniczną omyłką. Co do drugiej sprawy — budowy na Zamkowej Górze — pozostaje pole do dyskusji, gdyż argumenta nie są przekonujące.

Według p. Szenfelda za zużytkowaniem Zamkowej Góry przemawiają nast. argumenta: 1-o Centralne położenie góry w stosunku do terenu sieci z niższym poziomem ciśnienia. 2-o Wysokość, odpowiadająca wymaganej dla ustawienia zbiornika, wobec wyższego poziomu innych gór. 3-o Wysoka cena, żądana przez właścicieli Stołowej góry. 4-o Techniczne trudności urządzenia przewodów rurowych przez rzekę.

Co do pierwszego argumentu, to centralne położenie wieży ciśnień nie jest koniecznym warunkiem prawidłowego funkcjonowania wodociągu. Pompy tłoczą wodę do sieci, a rezerwoar odgrywa rolę zapasowego zbiornika i regulatora ciśnienia. W miastach, położonych na płaszczyźnie — znajdujemy zwykle wodociągowe instalacje z wieżą ciśnień nie w śródmieściu, tylko gdzieś na uboczu. — W Kijowie, gdzie są aż trzy piętra ciśnień

w zastosowaniu do nierównej powierzchni miasta, instalacje wodociągowe rozmieszczone są na brzegu Dniepru i pobliskich wzgórzach, właściwie poza granicami miasta. — W Warszawie, o dwóch poziomach ciśnienia — wszystkie zbiorniki i wieża zbudowane są na Koszykach, które nie mogą być uważane za środkowy punkt ani dla górnej sieci, ani tembardziej dla dolnej — Pragi i Powiśla. — Zresztą, przyjmując pod uwagę takie dzielnice, jak Antokół, Łosiówka, Snipiszki, Belmont i inne, należące do niższego poziomu ciśnienia, trudno zawyrokujeć, że jako punkt środkowy wypadnie właśnie Zamkowa, nie zaś leżąca o parę set metrów dalej, na drugim brzegu Wilejki jakaś inna góra.

2-o Według zapewnienia p. E. Szenfelda, zbiornik ma być ukrytym i wgłębionym we wnętrzu Zamkowej Góry. Otóż, jeżeli go można zagłębić na parę metrów na Zamkowej Górze, to z równym skutkiem można rozkopać trochę głębiej inną górę i postawić go na tym samym poziomie 46 metrów. Różnice wysokości tych gór nie są już tak olbrzymie i sprawa oparłaby się o wykopanie kilkudziesięciu, a najwyżej kilkuset sążni sześcienn. ziemi, po parę rubli na sążeń. W dodatku, ziemia z wykopu mogłaby być użyta na zasypianie tuż obok leżących licznych wyrw i jarów.

3-o Najpoważniejszy argument — zwiększenie kosztów instalacji o 300,000 rubli, którą to sumę należałoby wypłacić, nabywając t. z. Altarję Jasińskiego. Wymieniona posiadłość zajmuje, zdaje się, dziesiątki morgów przestrzeni. Sądząc z tego, że rezerwoar ma zająć nieznaczną tylko część wierzchołka Góry Zamkowej, a zatem ma być użytych na niego nie wyżej jak $\frac{1}{2}$ — $\frac{1}{4}$ morga, to pocóż rachować na karb wodociągowych instalacji wartość terenu całej dzielnicy przyszlęgo „Wielkiego Wilna“? W rzeczywistości, zwiększenie kosztów na tym punkcie wyrazi się sumą kilku, najwyżej kilkunastu tysięcy rubli. Pozostały teren „altarji“ przy umiejętnej gospodarce, może być z czasem zamieniony na najbardziej malowniczą dzielnicę Wilna, w rodzaju Kijowskich Lipiek, i nabycie jego przez miasto może być korzystnym i pod względem finansowym. Spotka mnie zapewne zarzut, że to są fantastyczne plany na daleką przyszłość. W takim razie pozostaje jeszcze jeden realny sposób wybrnięcia z tej sytuacji: przymusowe wywłaszczenie tej części Góry Stołowej, która jest niezbędna dla wodociągowych urządzeń.

4-o Techniczne trudności przejścia przez tak wąską rzekę, jest Wilejka, nie przedstawiają się zbyt groźnie. Zresztą, na Antokół przez Wilejkę, a na Snipiszki przez Wilję rury prowadzić wypadnie. Przypuszczam, że najprostszym rozwiązaniem tego zadania byłoby zbudowanie specjalnego mostku o lekkiej konstrukcji ferm, przystosowanego do ułożenia na nim rur i izolacji. Koszta tego urządzenia, przy rozpiętości mostu 15 — 20 metr. zapewne nie przekroczą kilku tysięcy rubli.

Przechodząc do ostatecznych argumentów p. Szenfelda, — bezpieczeństwa dla ludzi i miasta z jednej strony i dbałości o finanse miejskie z drugiej, możemy wysnuć logicznie następujące wnioski:

1) Jeżeli zbudujemy rezerwoar nie na Zamkowej, tylko na innej górze, i na poziomie o tyle wyższym, o ile tego wymagać może strata ciśnienia w rurach, na przestrzeni od Zamkowej do Stołowej Góry, t. j. zapewne o 1 albo 2 metry wyżej, to ciśnienie w sieci rur pozostanie to samo, jakie pierwotnie pragnął nadać autor projektu i bezpieczeństwo dla ogółu nie zmieni się ani na jotę.

2-o Koszta budowy zbiornika na Stołowej Górze nie przedstawiają się zbyt znacznymi.

Na zakończenie muszę udzielić parę słów uspokajającym zapewnieniom, że budowa zbiornika nie zmieni zewnętrznego wyglądu góry. Zapewne, że dla przechodzącego przez plac Katedralny różnice nie będą widoczne, ale na samej górze, pomimo najlepszej chęci konstruktorów, muszą być widoczne otwory wentylacyjne, wejścia, przyrządy sygnalizacyjne. Zainstaluje się zapewne w jakiejś budwie stróż, gdyż bez dozoru rezerwoar chyba nie pozostanie. Następnie, zbiornik wody musi być, co pewien czas oczyszczanym od osiadającego na dnie błota i mułu. Można z góry przewidzieć, dokąd to będzie się zlewało. Zbocze góry otrzyma głęboki przekop, dla ułożenia rur, a następnie dla wzmocnienia pakunków. Nie jest wykluczeniem, bo się trafia, pęknięcie rezerwoaru i rur. W takim razie wsiąkająca woda będzie rozmiękczać grunt, a przy poważniejszym uszkodzeniu rezerwoaru i wyrwaniu się większej ilości wody, część góry może spełznąć na dół, jak to miało miejsce przed paru laty w Kijowie z górą, leżącą obok pomnika św. Włodzimierza, w pobliżu rezerwoarów, znajdujących się około Michajłowskiego monasteru. Lekceważyć tych faktów nie należy i Górze Zamkowej trzeba dać spokój.

Karol Klukowski

Inż.-Techn.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Teresa Lubińska. „Nie wiedziata“. Powieść. Warszawa 1912.

Björnson poświęcił pokrewnej myśli utwór dramatyczny: „Rękawiczka“ i broszurę, której tytułu nie pamiętam. Chodzi o przedślubną czystość mężczyzny. Autorka polska nie tylko „grzechu“ dotknęła, — ale i jego często fatalnych następstw. Obnażyła całą ranę. W powieści tej jest bezpośredniość życia, której towarzyszą refleksyjne wnioski. Są tam jakrawe obrazy uprawianego „występku“, jego spustoszenia w ustroju ludzkim i przekazywanie go potomstwu. Autorka daje nam wizerunek *najjaskrawszy* osnowy i podobne do niej pojedyncze sceny bez żadnych osłon i kuszących domyslników. Czyni to z tak szczerą odwagą i szlachetnym dążeniem, że można książkę tę powierzyć inteligentnej młodzieży płci obojga, nie tylko z literackim, ale i moralnym pożytkiem *). W tem jest tryumf pisarski.

Jestto stopniowo uświadamiającej się młodej kobiety — Krystyny — pamiętnikowa spowiedź przed konfesonalem życia.

Miłość spoiliła Krystynę z młodym, zdolnym, pięknym mężczyzną, który przed ślubem zataił tlejącą w nim chorobę sekretną, w przypuszczeniu zapewne, że się uleczył. Więc ona o tem „Nie wiedziata“. Widzimy w Krystynie rozbrajający liryzm, gdy szyje koszulki dla swego spodziewanego dziecięcia:

„W każdym obrąbeczku tyle ściągów stałowej igiełki, tyle modlitwy mojej. Mówię błogosław Boże dziecięcemu memu i Ty coś łaski pełna była, której żywota owoc błogosławiony był — módl się za nami. W każde zakłócie igły w koszulkę prośbę korną kładę“. Jestto najpiękniejsza pieśń poranna, nucona pod brzaskiem wschodzącej ma-

*) Autorka dedykuje powieść tę swoim dzieciom.

cierzyńskiej miłości. Gdy potem syciła się już tem uczuciem, i zadowoleniem życia, przyszła nagle kolej inna, śmiertelny ból, największy, jaki w nią uderzył piorun. Poznała następstwa mężowskiej choroby: fizyczne, moralne i rodzinne. I gdy już poznała wszystko, do czego dusza jej przystęp miała i to z czem się łamała, począł się wikłać z jej uczuciami matki, zawiedzionej kobiety, ogólnoludzki rozczar:

„Ojciec ziemski usuwa z drogi dziecięcia swego wszystko zło, bo kocha. Ojciec niebieski „wiedzie na pokuszenie“ i sędzi“, albo: Gdybym Boga miała, musiałby mieć moc tworzenia doskonałego. Mój Bóg nie powiedziałby nigdy: z drzewa wiadomości pożywać — nie będziecie“, lub też: „Czemu jego miłosierdzie zna ludzką miarę, wagę i liczbę“.

Niema właściwie w Krystynie konradowych buntów; jest wielka skarga, która z niemi graniczy... ale i finalnej pokory też niema — konsekwentna wytrzymałość do końca.

Krystyna po szeregu walk porzuca męża, przenosi się na wieś, aby tam poświęcić resztę sił swego rozczarowanego serca pozostałemu dziecięciu... Gdy życie drapieźnemi palcami serca jej kruszyło, gdy stała się jej społeczna krzywda, nie mści się rozpustą, miłością wolną jak większość jej społecznych nowelistycznych rówieśniczek, choć w niej osamotnionej, zmysły przyrodniczo wołają. Jest w niej namiętność cielesna i jest wola głębokich wzruszających refleksyj — lśniące pianą wędzidła. Targa ona ten hamulec, ale nie czyni tego erotyzmem, lecz, jak widzieliśmy, zrywaniem sztucznej konstrukcji dogmatycznych wierzeń. Jest to upust dla jej utajonej energii i zarazem manifestacja współczuć dla udźkłego cierpienia.

Jest tu jeszcze jedna uwagi godna okoliczność. Prawie wszyscy do tej powieści wchodzący ludzie, a jest ich sporo, to właściwie jednostki sympatyczne i dobre a tak wzajemnie, mimowoli, krzywdzą się, chociaż niema między nimi żadnych kolizji ani walk, jest tylko ostateczna dramatyczna decyzja, moralny wyrok podpisany ręką karzącej przyrody. W porzuceniu przez Krystynę męża niema nienawiści, mściwych odwetów — jest tylko postanowienie odgroźenia dziecka od szkodliwie chorego ojca. Gdy ten dogorywa — Krystyna wraca do niego. Nie jest to już kochająca żona, lecz siostra miłosierdzia; ale nie ta, co duszę jego skruszyć by pragnęła lub zniewolić do pokuty. Bo on nie trwał w „występku“, od którego miłość już dawno go odgrodziła i moralnie oczyściła. Przyszła, aby swem zjawieniem i pieczołowitością pokazać mu, mimo krzywd swych, więcej dla niego serca od tych ciemnych nieprawidłowości społecznych, dających mężczyźnie „przywilej“, który często jego karze a towarzyszkę kochającą go i potomstwo krzywdzi okropnie.

Krystyna jest postacią z jednego odlewu, choć bogata w różne pierwiastki, harmonijnie stopione.

W powieści tej, z artystycznego punktu widzenia, nie brak usterek; wypływa to z żywiołowego sposobu pisanja; ale za wiele. W pierwszej połowie zbyt częste reminiscencje poświęcone pamięci ojca Krystyny, budzone naturalnie; ale za częste. Toż samo odnośnie wyrazu trąd. Przygodny nad morzem filozofujący towarzysz Krystyny, przypomina Jaśniacha z „Dziejów grzechu“, choć inne tamtego przeznaczenie.

D. Zgliński.

PRASA POLSKA.

— „Prawda“ wysmiewa usiłowania klerykałów, by zbrodnię Macocha zwalić na karb jego pochodzenia, skoro w żaden sposób nie można się w niej dopatrzeć wpływów masonskich.

„Oh! dlaczego w tej piramidzie potworności niema ani jednej cegiełki wolnomyślicielskiej? Dlaczego Macoch za młodu nie był socjalistą? Dlaczego nie czytał Darwina, ani Haeckla, ani Renana?“

Jakżeby wtenczas łatwo wytłomaczyć. Ojciec Rejman, przeor jasnogórski, miał już egzegezę gotową. Gdy okradziono klasztor, on pierwszy krzyknął: „To okradli wolnomyśliciele“. Ale któż się spodziewał, iż rzeczywistość tak brutalnie zada klam jego pobożnym intencjom.

Na przeszłości Damazego ani śladu jakichkolwiek wpływów kultury nowoczesnej. Ten człowiek czytał tylko Biblię. Był księdzem w każdym calu. Nawet, gdy mordował brata, pamiętał, że jest kapłanem, mającym od Boga sobie powierzona władzę. Był człowiekiem głęboko religijnym, pobożnym, i takim pozostał. Jego rodzina była wierząca i sam wiarę zachował w dziecięcej czystości. Cokolwiekby zarzucić można jego etyce, wiara jego pozostała nietknięta i mocna.

„Więc jakto? Więć nie przytoczyć nie można, co by nam zbrodnicość tej bogobojnej jednostki tłomaczyło?“

— Zaraz.., zaraz! Mam! Znalazłem! — woła „Głos Warszawski“, a za nim cały chór głosów katolickich. — Damazy Macoch był pisarzem gminnym. Sprawa się wyjaśnia. Wolelibyśmy, aby to był wolnomyśliciel, darwinista, albo zwolennik materjalizmu dziejowego, Ale mój Boże! Umiejęmy ograniczać swe żądania. Przestańmy — na pisarzu gminnym. W gruncie, zdobyć nie jest tak licha. Bo podstawmy tylko zamiast paulina — pisarza gminnego. Pisarz gminny, to jest najmita rządowy. A czy najmita rządowy może być polakiem? Oczywiście nie: stoi on jakby poza narodem. Otośmy już weszli na dobrą drogę. Damazy Macoch stoi poza narodem. Idźmy dalej. Kto stoi poza narodem, ten mu się przeciwstawia, ten staje się jego wrogiem. Lecz jako wróg narodu, Macoch cóż szkodliwszego mógł przedsięwziąć, niżli zamach na wiarę katolicką, skarb polaków najdroższy? Lecz skoro tak, to zamach jego właściwie przestaje być straszny, ponieważ przychodzi zzewnątrz; nie jest objawem rozkładu wewnętrzznego. Życie wewnętrzne klasztoru było i jest zdrowe; było i jest niepokalane. Pisarza gminnego — powieś! Ale klasztoru, ale klasztoru nie szargać!..

Trzeba przyznać — dodaje „Prawda“ — że obrona nie należała do najłatwiejszych.

— „Słowo“, od czasu nawiązania flirtu z p. Dmowskim, stale występuje w obronie obecnego Koła Polskiego w Dumie. Przeciwnicy zarzucają mu, że jest „zbiorem miernot, ludzi bez znajomości stosunków, bez charakteru i bez odwagi cywilnej“, że prowadzi jakąś „oślizgłą, tchórzową polityką“. „Słowo“ jest innego zdania. Przyznaje, że wprawdzie mężów stanu, skrojonych na miarę Cavoura lub Talleyranda, niema w niem, lecz „na 11 posłów Koła liczy kilka sił pierwszorzędných, wszechstronnie uzdolnionych do pracy parlamentarnej. To bardzo dużo“. Tygodnik „Światło“ z gorzką ironją odzywa się o tym optyimizmie:

„Słowo“ nie jest wymagające. Ktoż to są te „pierzszorzędne“ siły? Możeby je „Słowo“ wymieniło z nazwiska, bez zajaknienia, ani uśmiechu? Prawdą jest, że na jedenastu posłów jest zaledwie parę sił drugorzędnych, reszta to już nie miernoty, ale okragie zera, kreatury sztabu endeckiego. Jak np. są obsadzone mandaty z dwu wielkich miast Królestwa? Poseł Jabłonowski, przedstawiciel stolicy Polski, który objął mandat po dezereji Dmowskiego, jest średniej miary krytykiem literackim, bardzo podobno poczciwym chłopcem, bardzo lojalnym endekiem — i nic więcej. O politycznych jego kwalifikacjach nikt nie wie. Poseł Ruminkiewicz, przedstawiciel półmilionowej Łodzi, największego polskiego centrum przemysłowego, któremu mandat powierzyła endecja po dezereji Rządu, ani je-

dnego razu nie zabrał w Dumie głosu. W Łodzi nie mówi się o nim inaczej, nawet w kołach endeckich, jak z politowaniem i wzruszeniem ramion.

„Słowo“ jest z kwalifikacji członków Koła zadowolone. Niechże porówna pod tym względem Koło z inną grupą dumską takiej samej mniej więcej liczebności, z frakcją socjalno-demokratyczną. Członkowie Koła reprezentują kwiat inteligencji politycznej polskich klas posiadających, które w ostatnich czasach nie ponosiły żadnych strat w ludziach; członkowie Koła w III Dumie wchodzili w większości swej również do Kół w Dumie I i II-ej, kiedy Koło liczyło jeszcze 34 członków. Frakcja socjal-demokratyczna, to wybrańcy ludności robotniczej, robotnicy lub proletarjat inteligiencki. Członkowie frakcji soc.-dem. w I-ej Dumie pozabawieni zostali cenzusu wyborczego za wybory i inne objawy swej działalności; członkowie frakcji w II-ej Dumie są na katordze lub osiedleniu; socjalni demokraci w III-ej Dumie to trzecia zmiana, i na jakiej placówce! Nadto przypomnieć trzeba, że najdoświadczeni i najwybitniejsi przywódcy i bojownicy tego stronnictwa wogóle żadnych przywódców nie posiadają. Skala wystąpień frakcji socjal-dem. w Dumie bez porównania jest rozleglejsza, niż skala wystąpień Koła; we wszystkich sprawach politycznych socjalni demokraci zabierają głos, gdy Koło przeważnie milczy. W najtrudniejszych możliwych warunkach ci ludzie nowi, przedstawiciele parjasów społecznych, kandydaci na katordę, walczyli sobie w Dumie odwagą, niezłomnością, pracą i talentem stanowisko wybitne, zmusili najzacieklejszych wrogów do posłuchu i szacunku.

Oto dwie grupy parlamentarne. Porównajcie — i wprowadźcie wnioski“.

Wniosek istotnie niezbyt pochlebny dla reprezentacji polskiej. Jeszcze bardziej rażąco wypada zestawienie z przedstawicielstwem społeczeństwa polskiego w naszym kraju. Ale nad niem dawno już wszyscy przeszli do porządku dziennego.

Korespondencje.

Mińsk.

Jesteśmy w okresie żywszych prac w naszych instytucjach społecznych: d. 8 i 9 b. m. doroczne zebranie Towarzystwa rolniczego; d. 10 ogólne zebranie Towarzystwa ubezpieczeń rolnych; d. 11 ogólne zebranie „Ogniska“; wkrótce powinno się odbyć roczne zebranie kooperatywy spożywczej „Swislocz“, w tym czasie ma być zwołane zebranie pełnomocników Tow. Wzaj. Kredytu.

Równocześnie odbędzie się popis gimnastyczny „Sokoła“, koncert-raut w „Ognisku“. T-wo Rolnicze, jako instytucja najstarsza i najmocniejsza, pobudza właśnie w wiosennym okresie do życia inne instytucje naszego miasta.

Zjazd marcowy bywa największy, nie też dziwnego, że w tym czasie i inne instytucje czynią swój obrachunek, gdyż wieś przysparza członków wszystkim stowarzyszeniom naszym.

Zrzeszenie sił rozrzuconych, wspólna praca nad potrzebami własnymi i kraju zwykle powołuje do życia cały szereg instytucji i stowarzyszeń. Im kultura kraju jest wyższa, tem życie poszczególnych stowarzyszeń silniejsze, a i samych zrzeszeń więcej.

Oczywiście, iż warunki polityczno-państwowe grają tu ważną rolę: przy ustroju demokratycznym wszystkie warstwy mają swoje stowarzyszenia: robotnik ma związki zawodowe, kasy chorych, domy robotnicze; rolnik — kooperatywę rolną, kółka rolnicze — wspólne mleczarnie; inteligencja zawodowa posiada swoje, stosownie do zawodu — stowarzyszenia.

U nas stosunkowo najwięcej rozwinięta jest kooperatywa finansowa (T-wo Wzaj. Kred., kasy pożyczkowo oszczędnościowe), t-stwa rolnicze gubernjalne i częściowo już powiatowe, słabo bardzo kooperatywy spożywcze i t-stwa kulturalne, a o związkach zawodowych niema co i mówić, te nie istnieją.

Wobec tego życie każdej instytucji, którą posiadamy, winno mieć swoją celowość, świeżość i swoją treść, że się tak wyrazimy.

Czy zawsze tak jest?

Przyjrzyjmy się.

* * *

Zacniemy od najstarszej i najpoważniejszej instytucji — od T-stwa Rolniczego. Był okres czasu, w którym T-stwo odegrało ważną rolę w kraju naszym: zrzeszyło ziemiaństwo, podniosło kulturę rolną, powołało do życia towarzystwa prowincjonalne, urządzało wystawy, zajęło się hodowlą bydła i koni, — słowem w dziedzinie kultury rolnej robiło wiele i zrobiło b. dużo. Kiedy nadszedł czas reform państwowych i wtedy T-stwo Rolnicze odegrało poważną rolę.

Nastał czas ogólnego wyczerpania, apatji, — ogarnął wszystkie niemal sfery, — ziemiaństwo nasze a z nim drogą naturalną i instytucja rzeszająca je osłabły w pracy.

Przyszedł czas pewnego zastoju. Przyczyn poza ogólnymi nie będziemy wskazywali, konstatuujemy fakta jeno.

I oto znowu jakby zaczęło kiełkować nowe życie; dziś T-stwo zreorganizowało już stałe wystawy wiosenne nasion, zainicjowało wystawę hodowlaną na czerwiec, szereg odczytów i t. p.

Pierwsza wystawa nasion i połączony z nią jarmark zapowiadają się dobrze; bierze w niej udział kilkunastu ziemian producentów nasion w Mińszczyźnie i Syndykat Rolniczy.

O pracy T-stwa dla włościan — niestety, nie wiele da się powiedzieć. Ta strona działalności jest dotychczas mocno zaniedbana.

* * *

„Wzajemne Ubezpieczenia Rolne“ mińskie przeżyły już 11 lat i zdołały rozwinąć swoją działalność znakomicie: kapitał zapasowy wynosi 525,000 rubli, suma ubezpieczeniowa doszła do 53,000,000 rb., premja roczne 560,000 rb. Towarzystwo w ostatnim roku rozwinęło się znakomicie, przystępuje do budowy własnego domu oraz zamierza wprowadzić szereg reform i udogodnień. Dywidendy wypłaciło T-stwo 8 proc. za rok ubiegły. Roczne zebranie ogólne odbędzie się 10 (23) b. m.

* * *

„Ognisko“ zakończy swój rok 11 (24) marca. Instytucja, która powinna zrzeszyć całe życie kulturalne i towarzyskie naszego miasta, tembardziej, że dawniej taką była, dziś wiedzie żywot zaledwie wegetacyjny.

Teatru „Ognisko“ niema, mimo, że Mińsk posiada specjalnego kierownika teatralnego (w „Sokole“) z czego mogłyby zdaniem naszym po porozumieniu się korzystać obie instytucje. Odczyty są rzadkością i zwykle miewa je jedyny prelegent ks. Drucki-Lubecki. Wprawdzie od czasu do czasu klub ten polski urządza jakąś zabawę, zaprosi

„Momusa“ warszawskiego i potem przez kilka tygodni publiczność „gorszy się“ piosnkami p. Mrozińskiej...

Należałoby wytknąć sobie pewną programowość w prowadzeniu instytucji, więcej zająć się zorganizowaniem kulturalnych i duchowych rozrywek, zorganizować w odpowiednim czasie szereg odczytów, tembardziej, że i młodzież chętnie słucha każdego wykładu.

Mamy nadzieję, iż nadchodzące zebranie zajmie się ożywieniem tej sympatycznej w założeniu instytucji i naprawdę zogniskuje życie monotonne nasze w „Ognisku“.

Na dobro „Ogniska“ zapisać należy otrzymaną przez nas wiadomość o urządzeniu wystawy obrazów w kwietniu, w której wezmą udział znani artyści polscy, jak Okuń, Wyczółkowski, Pillati i w. innych.

Natomiast raut-koncert zwraca uwagę niebywale wysokimi cenami (5 rb. wejście dla panów i 3 rb. dla pań) co podobno zaledwie pokryje koszt urządzenia.

* * *

„Sokół“ zaś w ostatnim czasie ożywił się nie na żarty. Przedstawienia teatralne mają stałe powodzenie, ćwiczenia gimnastyczne, popis których zapowiedziano na 11 (24) b. m. skupia liczne grono chętnych. Scenę uporządkowano, dając jej nowe b. dobrze i umiejętnie dobrane dekoracje.

Sala tylko domaga się uporządkowania, ale i w tym kierunku poczyniono starania. Główna zaleta tej instytucji, że umiała sobie pozyskać sympatię szerokich warstw, że powołuje coraz to nowe siły do pracy, umie je zachęcić i zespolić. Ostatnie przedstawienie „Chama“ Orzeszkowej (w przeróbce) przeszło b. dobrze; p. Kupiecki (kierownik sceny) grał doskonale, a co można zrobić z małej roli wykazał p. Januszkowski, grający „uradnika“ z taką prawdą i rozmachem, że pierwszorzędną sceną mogłaby pozazdrościć „Sokołowi“. Dla braku miejsca nie możemy zastanawiać się nad poszczególnymi postaciami, musimy zaznaczyć, iż stworzony zespół jest poważnym materiałem teatralnym, co zmusza już kierownika do porzucenia dotychczasowego repertuaru i przejścia do rzeczy poważniejszych, treściwych i noszących znamię prawdziwego talentu w twórczości teatralnej.

Dziś nie wskazujemy programu repertuarowego kierownikom teatru w „Sokole“, nawołujemy tylko do wkładania pracy, szczerych chęci amatorów w rzeczy o wyższej wartości, niż dotychczas.

Widzowie napewno potrafią ocenić te starania i chętnie w dalszym ciągu będą popierać teatr, który im dawać będzie pokarm coraz to lepszy i wybredniejszy.

Czekamy.

Leszek Czarny.

NA WIDNOKRĘGU.

Wspaniałe przyjęcie, zgotowane w Wiedniu w. ks. ęciu Andrzejowi Włodzimierzowiczowi, uspokoiło na krótki czas opinię publiczną. Przepowiednie zbliżającej się wojny europejskiej, skute dokoła nieporozumień rosyjsko-austriackich, raptownie

przycichły. Zaczęto nawet mówić o możliwości nowego „świętego przymierza“, czemu zaprzeczyły dopiero półurzędowe wyjaśnienia, przedstawiające gościnność dworu wiedeńskiego, jako akt kurtuazji, pod względem politycznym drugorzędnego znaczenia. Nie przestała też Austrija traktować nieufnie swego północno-wschodniego sąsiada, a tę nieufność dziś zwiększą zapewne pogłoski — i to pogłoski ze źródeł miarodajnych czerpane — a zapowiadające rosyjsko-włoskie przymierze zaczepno-odporne.

Motywowane jest ono rozmaicie, zależnie od tego, kto je komentuje. Półurzędowa prasa rosyjska oskarża Turcję o niełojalne wtrącanie się do spraw perskich; kiedyindziej znów usprawiedliwia ewentualny krok dyplomacji petersburskiej szkoda, jaką wyrządza handlowi rosyjskiemu wojna turecko-włoska; troską o pomyślność państwa ottomańskiego, któremu dalsze upieranie się przy posiadaniu Trypolisu grozi ogólnym buntom plemion bałkańskich; wreszcie nawet czystą miłością pokoju. Gdy Włochy zaatakują Dardanele, a Rosja Bosfor — Porta przypuszczalnie będzie musiała kapitulować, a wówczas zatryumfuje — idea pokoju.

Okazuje się więc, że dymisja Czarykowa miała przyczyny głębsze, niż pierwotnie sądzono. Polityk ten — jak się okazuje — miał za wiele sympatji dla młodoturków i... dawał się im okłamywać.

Dziś, wobec perspektywy równoczesnego wystąpienia przeciw Porcie dwu mocarstw, grozi bardzo wyraźnie niebezpieczeństwo postawienia na ostrzu miecza zdawna odwlekanej kwestji bałkańskiej. Jak zwykle też bywa w podobnych wypadkach, wszyscy wierzący się spieszenie przygotowują rachunki, starając się przytem wytworzyć sytuację, mogącą usprawiedliwić w potrzebie interwencji w punktach z góry obranych.

To też widzimy obecnie wzrastające na półwyspie zamieszanie. Znowu odezwała się Albania, przypomina się Kreta, tureckie bandy poczęły niespodzianie serbów niepokoić...

Co to wszystko znaczy — wiemy doskonale; wiemy że sprężyny wszystkich tych awantur mieszczą się nie na właściwym ich terenie, ale w stolicach mocarstw, mających uczucia humanitarne na eksport i wypożyczających je w odpowiednich momentach interesom swoich finansistów.

Tymczasem jednak Ag. Petersburska uspokaja opinię europejską, zaniepokojoną wyprawieniem na Kaukaz całej dywizji wojska. Agencja zaznacza, iż celem owej ekspedycji nie jest żaden zabór, lecz tylko konieczność skompletowania sił, uszczuplonych akcją na gruncie perskim, gdzie powieszenie 87 uczyniło zbytecznymi dalsze represje. Rząd perski zgodził się już na stosowanie swej polityki do zasad umowy angielsko-rosyjskiej z r. 1907.

Pozostaje więc tylko uregulowanie granicy turecko-perskiej. Temu właśnie uregulowaniu mógłby oddać poważną przysługę domniemany sojusz włosko-rosyjski. Kwestja tylko, czy da się uniknąć zawadzenia o jakiegokolwiek postronne interesy.

Oto np. kwestja drogi Bagdadzkiej stanowi moment bardzo delikatny w stosunkach niemiecko-angielskich. A sprawa ta została właśnie teraz przypomniana. Rząd w. brytański — jak oświadczył Grey — prowadzi z Turcją pertraktacje, dotyczące komunikacji morskiej pomiędzy Bagdadem a zatoką Perską.

Naogół jednak Londyn nie okazuje, a może nawet wcale nie rozwija akcji odpowiednio energicznej do powagi chwili. Niemalą dywersję sprawia mu olbrzymi strejk górników, czyniący Anglję narazie prawie bezsilną. Dowiadujemy się z ostatnich depesz, że Izba gmin pośpieszyła już przyjąć — i to jednogłośnie — ustawowe zagwarantowanie robotnikom kopalnianym płacy minimalnej. Rząd i parlament dokłada więc wszelkich starań, by kres położyć rujnującemu i obezwładniającemu państwo bezrobociu.

Zaabsorbowana jest również i druga sojusznica Rosji — Francja, która na gruncie marokańskim popada w coraz gwałtowniejsze kolizje z Hiszpanją, a ostatnio nawet zerwała z nią rokowania i — jak sądzić można z głosów prasy t. zw. miarodajnej — szykuje się do uczynienia kroku stanowczego w postaci okupacji.

Kłopoty w danej chwili zarówno Anglii, jak Francji, mogą być bardzo na rękę dyplomacji berlińskiej. Ta bowiem nie odżegnywa się wcale od wywołania z byle powodu wojny europejskiej. Skłaniają ją do tego komplikacje wewnętrzne. Wiadomo, że wojnę zewnętrzną uważają rządy konserwatywne za najlepsze antidotum przeciw fermentom rewolucyjnym, rozkładającym podległe sobie społeczeństwa. Nie tylko ostatnie wybory do parlamentu, ale i skłonność proletariatu niemieckiego do niesienia pomocy towarzyszom angielskim mocno niepokoi rząd Wilhelma II. Spodziewa się on — zgodnie z opinią prasy zachodniej, jako też głośnego Hardena — że powołanie narodu pod broń potrafi skupić go znów dookoła tronu. Nadto dodaje mu śmiałości nastroj wojenny, objawiający się w Austrii, gdzie coraz wyraźniej górę bierze partja wojskowa, grupująca się dookoła następcy tronu, również wierzącego w skuteczność rozprawy zbrojnej na ukrócenie wewnętrznych waśni narodowościowych.

Wszystko to rzeczywiście czyni wysoce aktualnym niebezpieczeństwo krwawych zapasów na gruncie europejskim i przyczynia się do zaniepokojenia giełdy, która notuje gwałtowną zniżkę papierów, jeszcze do niedawna bardzo pewnych i dobrze płaconych.

KRONIKA.

= Sprawa Umiastowskich w senacie.

Dnia 14 b. m. kasacyjny departament senatu rozważał sprawę p. Jana Umiastowskiego i synów Witolda i Franciszka, oskarżonych z § 102 ust. karnej o należenie do rewolucyjnej partji socjalistycznej. Jak wiadomo, wileńska Izba sądowa uniewinniła ojca i syna Franciszka Umiastowskiego, Witolda zaś skazała za przechowywanie nielegalnych druków na rok twierdzy. Wniesiono na ten wyrok skargę kasacyjną oraz protest prokuratora. Przeciwko dowodom protestu występował adw. Lednicki, który wniósł również skargę kasacyjną. Senat skargę odrzucił, a protest prokuratora uznał za godny uwagi, wobec czego wyrok unieważnił i sprawę przekazał kijowskiej Izbie sądowej do ponownego rozpatrzenia.

= Józef Kuć.

W Krakowie, w lecznicy zmarł Józef Kuć, b. pracownik kolei warszawsko-wiedeńskiej. „Złoty Róg“ tak pisze o nim:

Zmarły z pochodzenia był synem chłopca. Odznaczał się wielkimi zdolnościami politycznymi, które to przeszkadzały mu przez lat wiele w ukończeniu rozpoczętych studjów medycznych. I dopiero na tułactwie, na wygnaniu nareszcie je ukończył w 40 roku życia. Popularność Kucia wśród młodzieży i robotników była tak wielka, że wystarczało jedno uderzenie w stół, aby... koleje nie poszły w ruch.

Pozostał Kuć do końca życia wierny swoim proletaryjckim ideałom. Namiętny agitator, o drewnianej nodze, zdążył

zwiadzić stępy astrachańskie; nie sarkał nigdy na zły lub — dobry los. Wierzył gorąco i naiwnie w Marxiizm, co wykluczało wszelką z nim dyskusję. Wiara jego piękną była, choć z wielkim sceptycyzmem należałoby się na nią pod wieloma względami zapatrywać.

= Z Finlandji.

Jak stwierdza korespondent „Russk. Wied.“, oddanie finlandzkiego zarządu retmańskiego pod bezpośrednią władzę ministerjum marynarki wywołało tłumne podawanie się retmanów do dymisji. Ustupują urzędnicy głównego zarządu, naczelnicy okręgów, kapitanowie parostatków retmańskich, naczelnicy latarni morskich i zwyczajni retmani. Z liczby 145 retmanów okręgu helsingforskiego 116 podało się już do dymisji. Uczniowie szkoły retmańskiej przerwali wykłady. W kołach finlandzkich przewidują ustąpienie conajmniej trzech czwartych całego personelu retmańskiego. Wszyscy ci ustępujący marynarze są znawcami wód i cieśnin finlandzkich i uważani są wprost za niezastąpionych. W bliskiej przyszłości grozi kryzys żegludze handlowej, czem tłumaczyć należy silne wrażenie, jakie ta sprawa wywołuje w zainteresowanych kołach niemieckich i angielskich.

= Porażka październikowców.

W petersburskim klubie działaczy społecznych odbyły się wybory członków zarządu. Wybrani zostali: b. prezes Dumy Chomiakow, poseł Jefremow, oraz Fiedorow, Szukin i Pozdiejew, a na zastępcę poseł Lwow. Większość wybranych należy do obozu postępowego. Wybory te są tem znamieniejsze, że klub działaczy społecznych założony został przez październikowców i uważany był za twierdzę oktobryzmu.

= Nowy blok lewicowy.

„Russkija Wiedomosti“ dowiadują się, że obok organizacji „bloku postępowego“ tworzy się w Petersburgu blok bardziej opozycyjny, ludowy i lewicowy. Dążeniem twórców nowego bloku jest zjednoczenie nie tylko ludowych żywiołów i kierunków ludowych, ale też wejście w stosunki z innymi lewicowymi partjami, głównie zaś z partją wolności ludu.

Inicjatywę w wytworzeniu tego bloku podjęła „grupa pracy“.

Celem bloku będzie przeprowadzanie na postów przedewszystkiem ludzi o stanowczem opozycyjnem zabarwieniu bez względu na partję, do której należą.

Książki nadesłane do Redakcji.

Saitschick Robert prof. *Ludzie i sztuka odrodzenia włojskiego*. Przekład z upoważnienia autora Marji Krzeczowskiej. 2 tomy. Kraków — Warszawa. Gebethner i Wolff. 1911.

Sand Herbert. *Współczesna polska twórczość dramatyczna*. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1911.

Sobeski Michał. *Interludia z pogranicza sztuki i filozofji*. Kraków — Warszawa. G. Gebethner. 1912.

Treść numeru.

Taktyka strusia — L. Abramowicza.

„Normalna“ klęska — St. Gr.

Antoni Zaremba — S. Posnera.

Z życia litewskiego — M. B.

Wrażenia z Galicji — B. H.

Wizje (wiersz) — B. Bujłówny.

Z mego notatnika — Licza.

Jeszcze o Górze Zamkowej — K. Klukowskiego

Przeгляд piśmienniczy — D. Zglińskiego

Prasa polska, Głosy rosyjskie, Korespondencje, Na widnokregu, Kronika.

Odcinek: „W budzie“ — J. Augustynowicza.

PENSJONAT w MAJĄTKU

3 w. od m. powiat. Siebież Moskiew. Windaw. dr. żel., 10 w. od kolei w malown. suchej, zdrowej miejscowości, w sosnowym borze, wynajmuje się na sezon letni.

POKOJE UMEBLOWANE.

Cisza wiejska, kąpiel rzeczna, łódki, park, polowanie. Poczta codziennie. Doktor, apteka o 3 wiorsty. Całkowite utrzymanie 50 rb. miesięcz., dzieci i służba stosownie do umowy. Tamże do wynajęcia.

DWA LETNISKA 4—5 POKOI

ciepłe, suche, z umebl., naczyń, opałem od 120 do 200 rubli. Produkty mleczne na miejscu.

Adres: *Siebież, Witebskiej gub.*

Zarząd dóbr, Chartapowo. — 4126.

Żadajcie szczegółowego programu
Największej w Europie
SZKOŁY KROJU i SZYCIA
prof. K. LEWAŃSKIEGO

Centralna szkoła na Litwę i zarząd oddziałów: Wilno, Wielka 27, (nad księgarnią Zawadzkiego).
Tamże do nabycia: **FORMY BIBUŁKOWE**,
żurnale, manekiny i maszyny do szycia.

RESTAURACJA MYŚLIWSKA!

Oryginalne, amatorskie potrawy!

KOŁDUNY LITEWSKIE!
BIGOS MYŚLIWSKI!
FLAKI WARSZAWSKIE!
ŻUR MAZURSKI!
SZYNKA Z DZIKA!

Gabinety. Orkiestra pod dyktando p. Emmy.

Sklep domowych wyrobów wełnianych

A. MOHLÓWNY I S-ki

W WILNIE, UL. WIELKA № 10.

POLECA: **SZEWIOTY** NA UBRANIA MĘSKIE I DAMSKIE, LETNIE I ZIMOWE.

PLEDY, CHUSTKI, KOŁDRY, DERKI, KILIMY, PŁÓCIENKA BAWELNIANE KOŁOROWE i t. p.

Kostjum gotowy.

Za 4 r. 95 k. wysyłam pocztą za liczeniem pocztowym bez zadatku garnitur gotowy, z jednym lub dwoma rządami guzików, złożony z marynarki (na podszewce), kamizelki i spodni, uszyty według ostatniej mody z doskonałego mocn. kortu, angielsk. szewiotu. Kolory: czarny, ciem.-granat, modne desenie. Gatunek pierwszorzędny 5 r. 95 k. Miarę wskazać: długość marynarki, rękawów, objętość piersi, długość spodni i w kroku. Opakowanie i przesyłka 95 k. Przy obstalunku 3-ch lub więcej garniturów przesyłka na koszt firmy. Bez ryzyka. Nie do gustu przyjm. z powrotem.
Adr. Skład: „Eksport Łódzki“.
Łódź T. 4.

**J. MACIEJEWSKI**

Mińsk lit. Zacharzewska 70 (vis a vis hotelu Odesy).

ZAKŁAD RYMARSKO-SIODLARSKI

Siodła, wszelkie zaprzęgi, chomonta robocze, kufry,
i wszelkie artykuły podręczne i galanteryjne.

Informator Handlowy.**BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej**

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C**T. KRZYŻANOWSKI**

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski i J. Marciniak

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

Przyjmujemy zamówienia z własnych i powierzonych materiałów. Wykonanie staranne i akuratne.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

KUPUJCIE NA ŚWIĘTA

OSTATNIE NOWOŚCI

PERFUM, MYDŁA, WODY KOŁOŃSKIEJ I PUDRU

K. ERMANS I S-ka

„IDEALNA KONWALJA“ „CAMOMILLE“ (Biały rumianek)
„COEUR DE JEANETTE“ „PETRONIUS“
„KWIAT LIPY“ „CYCLAMEN“
„VIOLETTE MERVEILLE“ „IDEAL“

Sprzedaż we wszystkich sklepach aptecznych i perfumerjach.

SKLEP SPÓŁKI OWOCARSKIEJ,

WILNO, Pozawałna 28.

POLECA naturalne przetwory owocowe własnego wyrobu: marmelady, pasty, konfitury, soki, powidła i sery owocowe.
Sprzedaż detaliczna i hurtowa. — **CENY NIZKIE.**
Jabłka krajowe, kompot, miód-lipiec, bakalie. — Obstalunki z prowincji wysyłają się niezwłocznie za zaliczeniem.

JÓZEF WOŹNICKI

RZEŹBIARZ I PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY

Wilno, Prospekt 8-to Jerski № 19 m. 15.
Pracownia Zawalna 11.